


# Antek Socha młody wojak.

Z czasów Jana Kazimierza.

POWIASTKA HISTORYCZNA.

NAPISAŁ  
JÓZEF GRAJNERT.



CHICAGO, ILL.  
W. SMULSKI PUBLISHING CO.

Antek Socha,

MŁODY WOJAK.

Z czasów Jana Kazimierza

Powiastrka historyczna

NAPISAŁ

JOZEF GRAJNERT.



CHICAGO, ILLINOIS.

Czcionkami i druklem GAZETY KATOLICKIEJ, 565 Noble Street.  
1895.



## WSTĘP.

„Stała nam się w Polsce trwoga,  
Czy od ludzi, czy od Boga.”

(Z pieśni ludowej).

Słodsze od młodu, milsze od muzyki,  
jest odczytywanie dziejów najbliższych sercu.  
Chwała oręża, wielkie czyny, a nawet klęski  
straszne składają się na inną muzykę, która  
ci zagra w duszy potężniej, niż wszelkie, ja-  
kie znasz, narzędzia muzyczne.

Było to przed 200 laty przeszło, za Jana  
Kazimierza, dzielnego z początku króla, go-  
rącego obrońcy ludu naszego, kiedy to Pol-  
ska aż sześciu nieprzyjaciółom naraz bronić  
się i walczyć na śmierć lub życie musiała:  
chcieli ją bowiem rozerwać na szmaty. W  
dodatku, przyłączyły się niesnaski młędzy o-  
bywatelami w kraju, a nawet jawny rokosz,  
czyli bunt, przeciwko królowi.

Już cały kraj prawie, jęczał pod srogą  
płęcią Karola Gustawa, króla szwedzkiego;  
król uciekać musiał aż na Szlązk, z kąd do-  
piero wezwał szlachtę dworską i lud do  
bronii. Szczupła załoga częstochowskiego  
klasztoru, zagrzana wielką wiarą i miłością  
ojczyzny przez ks. Kordeckiego, przeora





Paulinów, dzielnie odparła gwałtowne szturmmy czterdzieści razy silniejszego Szweda.

Ruszyli się i mieszczańskie z Podgórze i Nowego Sącza w Galicyi, a także włościanie z Nawojowej, a też w Wielkopolsce i gdzieś indziej przeciwko Szwedom. Nieustraszone Czarniecki nękał ich, urywał i bił wstępnym bojem. Stanęli przy królu Lubomirscy, Sobieski, książe Jeremi Wiśniowiecki, i za łaską Bożą wypędzono Szwedów; — Kozaków zbuntowanych, zlejących pożogą i mordem, uśmierzone przeciw; — Tatarów spędzono w stepy i Siedmiogrodzian do szczętu pobito. Słowem, mimo ówczesnej swawoli i przemocy możliwych, mimo nieposzanowania króla, przedłużył się byt Polski jako państwa, na lat 200 jeszcze.

Lecz więcej o tem dowiesz się, dobry czytelniku, z samej powiastki.

## ROZDZIAŁ I.

Nie było to nad takiego  
Jęgości Czarnieckiego,  
Bo stał we krwi po kolana,  
A przecie bił na poganą.

— *Pieśń ludowa.*

O tem, co ślepy Lirnik śpiewał? — Napad na opactwo. —  
Rakoczemu czasnek polski nie poszedł na zdrowie.

— Zwycięstwo i pierwsze przygody Antka  
Sochy; gdzie się ukrył w czasie pożaru  
i nieco o zdatnym pałaszu.

Na wysokiej wieży starożytnego Opactwa Cystersów w Wąchocku, wybiła druga godzina z południa. Przed bramę tej wspinalą a dziś opuszczoną, czworoboczną budowlą, przyszedł starzec ociemniały z chłopczykiem, który go prowadził za rękę. Postawa prosta, głowa wzniesiona, wąs słaby, na dół spuszczone i twarz, na której była szrama już zablizniona — wskazywały, że ten człowiek musiał niegdyś chadzać orężnie, dawała znać o tem i zużyta już kurtka żołnierska, która go słabo okrywała od jesienno chłodu.

W rękę trzymał lirę. Zdjął czapkę i podał ją jasnowłosemu chłopcu, liczącemu może 10 do 11 roku lat życia.



Chłopiec był ubrany w białą kapotkę z czerwoną obszywką i w krakowską, z czarnym barankiem, amarantową czapkę.

Starzec nastroił lirę, nakręcił korbą, począł przebierać po klawiszach przegrywkę, wreszcie zagrał pieśń smętną, która powoli przechodziła w śmiałe, jakby wojackie tony. — Około grajka skupiła się niebawem gromadka mieszczan — mężczyzn, kobiet i dzieci. Lirnik głos donośny zmieszał z muzyką swego narzędzia i począł śpiewać:

„Do pokuty się udajmy, Najświętszą Matkę błagajmy: — Mój syneczku! mój kochany! Odwróć ten miecz na pogany. Do pokuty się udajmy, Najświętszą Pannę błagajmy.“

Następnie zaśpiewał, wprowadzile nieuczenie, lecz zgodnie z dźwiękami liry, o wojnach z tych czasów i o jednym dziobatym rycerzu:

„On pod białym służył ptakiem; zrazu prostym był wojakiem; potem został porucznikiem, — potem został pułkownikiem, — potem oboźnym Korony, — wolnym wodzem jej obrony. Potem został kasztelanem, starostą i wojewodą, — a za Pana panów zgodą, może zostać i hetmanem.

„Już za króla Władysława, gdy była z

Moskwą przeprawa, pod Smoleńskiem tak wojował, że król dobra mu darował.

„Bił się z Chmielem, co Kozaków, pobuntował na Polaków, i wśród mnogich walk odemętu, wodza Moskwy zbił do szczętu.

„Raz kiedy wystąpił zbrojnie, z Tatarstwem we krwawej wojnie, wpadł w niewolę, a pogany, paść mu kazały barany. I tam w stepach przez rok w Krymie, żył gdzie niewiernych jest plemię.

„Gdy już skończył tę niewolę, poszedł zaraz na Podole; Ukraina, Wołyń cały, znów obrońcę w nim dostały. On jak orzeł z górnych szlaków, spadł na karki hajdamaków, tych kozackich pod Zborowem, Beresztczkiem i Batowem.

„Kule go się nie śmiały, szable odeń odskakały, aż pod Monasterzyskami, gdy wojował z Kozakami, wypuła kulę, co mu była, twarz na wylot zdziurawiła. Pod Buszą, gdy z wrogiem hula, utkwiała mu w nodze kula.

„Pędzi konno, szabla świszcze, już Kozactwu wziął Stawiszczę; walczył jak lew pod Braclawiem: Naprzód — woła — wrogów zdławim!

„A pod Piatkiem, Inowłodzem, gdy w tych miejscach bywał wodzem, tak się spr-



wił, że Polacy, że junacy, po raz pierwszy Szwedów zbili. Od tej chwili, goni, sieka, Szwedów wszędzie; Bóg w nim pomsty dał narzędzie!

„On jak piorun, jak blysk nieba, wpada z szablą, gdzie potrzeba: od Lublina pod Gdańsk bieży; z Gdańska spleszy do tej wieży, co ze wzgórza Częstochowy, biegnie w Niebo do Królowej.

„Ztamtąd pod Płock, do Krakowa, do Warszawy, do Działdowa, do Kozienic, Golezna, Żnina, — a pod Warką tak poczyną, że jak szczury Szwedów topi, resztę tłuką w polu chłopci.

„A Chojnice, a Chorzele! Wiele włosów i młast wiele, i ten zamek w Sandomierzu, głośno świadczą o rycerzu!”

I to nie koniec jeszcze trudnych prawie do uwierzenia bojów, niezmordowanego, dzielatego rycerza, którego Lirnik nazwał Archaniołem Polski, bo oto znów starzec gra i śpiewa:

„Jeszcze mu się nie stępiła, ani szabla ani siła! A koń jego dziś w postoju, do nowego rzy już boju. Bo wróg tak się wali, mnoży, jako piasek wśród bezdroży.

„A ten Rycerz krwią zbryzgany, konno

wjeżdża na kurhany, dzierżąc jasną szablę w dłoni, wdał, gdzie wrogów, okiem goni.

„Dzień, noc czuwa, z konia jada; Świętokrzyskich gór dopada, z szczytów patrzy w Polskę, z której strony rozbić wrogów chmury.

„A słonko mu jasno płonie, i ozłaca sławne skronie, w nocy miesiąc srebrnorogi, Rycerzowi znaczy drogę.

„Bóg w ochronną tarcz go słoń, a Najświętsza Matka w dłoni, trzyma nad nim z gwiazd koronę, bo zasłużył on na onę: że tak Syna jej miłuje, że dla Polski tak pracuje, że tak broni świętej wiary, bije Szwedy i Tata-ry.“ —

Tak śpiewał stary Lirnik, a modrooki jego synek, całą duszą pochłaniał tę piosnkę, — oczy plonęły mu jak duże, jasne świece, na licach rumieniec wystąpił. Jakżeby on pragnął widzieć kiedy tego dzielatego rycerza, — onby mu z radości stopy całował!

Mieszczanie starzy i młodzi, niewlasty i dziewuchy, sypali w karmazynową czapeczkę tynfy, grosze i trojaki, znieśli owoców i rumlanych bułeczek, że tego wszystkiego chłopców w czapeczce pomieścić nie mógł,



do pomocy przybrał sobie pole błalej kapotki.

— Czy wlecie, ludkowię, o kim śpiewał ten Lirnik? — dał się słyszeć głos z bramy klasztornej. — Wszak ów Rycerz dzłobaty, to nasz przesławny Stefan Czarniecki!

— Słuchacze, poznawszy w poważnej postaci, okrytej białym habitem, opata Cystersów i tak przemawiającego z bramy do nich, skłonili mu się z uszanowaniem. Długa, sława już broda okalała mu twarz, na której się niezwykła malowała słodycz. Słuchał i on gry i śpiewu ślepego lirnika, i czekając końca stał w bramie niskiego muru, co dookoła opasywał klasztor. Teraz uprzejmie zaprosił starca z synkiem do klasztoru, gdzie w refektarzu posadziwszy Lirnika na ławie za dużym stołem, kazał przynieść resztek z obiadu, który co tylko zakonnicy spożyli. Poleciał też ojcu kanatarzowi przynieść dzbanuszek dobrego piwa, które warzono w browarach należących do opactwa. Gdy się ojciec z synem posilili, ksiądz opat zapytał:

— Jakże was zowią, nieszczęśliwy Lirniku?

— Nazywam się Wojciech Socha, przewielebny ojcze — odpowiedział.

— Dawnożeście wzrok stracili? i co znaczy ten ubiór przypominający wojaka?

— Boć i naprawdę, przewielebny ojcze, byłem wojakiem i to jeszcze nie tak dawno, jak oczy straciłem w Sandomierzu przez tych zamorskich heretyków.

— Jakto? teraz niedawno, kiedy się tam wydarzyło to wielkie nieszczęście? — zapytał ze współczuciem przełożony opactwa.

— A niedawno, proszę przewielebnego dobrodzieja, miesiąc prawie temu.

— Słyszeliśmy tu o tym piekielnym podstępie — Szwedów — mówił dalej ksiądz opat — ale tylko z gruba wiemy o tem. Jakże to było? i przez co straciliście oczy, lirniku?

— Było to tak, o mój zacny dobrodzieju — zaczął opowiadać stary. — Kiedy nasz król nieszczęśliwy tułając się na Szląsku, wezwał pismem szlachtę, mieszczan i chłopów, aby bez czekania na kasztelanów, starostów i wojewodów, powstali w gromadach i sami sobie obierali przywódców, — wtedy przyszła kolej i na nasze Goźlice, co leżą pod Sandomierzem. Już i ja ongi chadzałem



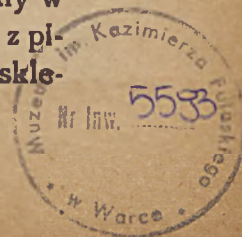
na wojenne potrzeby z panami jako pacholek, a potem niby czeladnik, — toć dla mnie wojna już nie była nowiną; bo się nierzad zdarzało, że i ciurom obozowym dawali rycerstwo w garść jaką pikę, pałasz albo bandolet luzny, żeby razem, kupą bić nieprzyjaciela lub mu się zastawić, jak z nami było kruchoch. Jakoś panowie senatory z razu nie kwapili się iść na Szweda, co gnębił kraj cały. Tylko szlachta dworkowa pocziwiej czuła.

Nasz dziedzic uzbroił nas, tych w piki, tych w szable, innych w kosy, i we dwudziestu z naszej wsi weszliśmy do Sandomierza, gdzie też już zastaliśmy dość uzbrojonego ludu. Tam nas trochę przemustrowano a zdutniejszym w strzelaniu dali nawet pistolety. Upłynęło tak kilka miesięcy, kiedy Szwedzi z dużą siłą uderzyli na miasto i na zamek, żeśmy się im nie mogli oprzeć i podziemnymi lochami pod zamkiem wyknęliśmy się za miasto. Poszliśmy do Zawichosta, a Szwedzi utwierdzili się w Sandomierzu.

Niedługo czekać, aż tu wpada pan Czarniecki, co był już wtedy wojewodą ruskim, ze swymi zuchami, — potem pan Jerzy Lubomirski, i pan Stefan ze swemi pułkami,

nas zabrali z sobą z Zawichosta i poszliśmy razem ochotnie na Sandomierz, żeby Szwedów wykurzyć. Co to za wojak ten pan Czarniecki, co to za wojak, mój Boże! Toć że on zaraz w okolicy i w mieście zbił Szwedów na pieprz, ile ich tylko dopadł; potem z panami Lubomirskimi piorunem przypuścił szturm do zamku. Te szwedzkie gadziny oplerały się zacłęcie; ale co to pomoże z takim wojakem jak pan Czarniecki! Za Włsłą stał sam król szwedzki z wojskiem; ale nasi tak ścisnęli twierdzę, że nie mógł dać swoim odsłeczy. Tak ci, panie święty, tajemnie rozkazał swojemu dowódcy pludrowi, żeby na łodziach uwiózł załogę i prochy z twierdzy.

Tymczasem nasi coraz ślarczyściej szturmuja; więc dowódca szwedzki kazał złożyć w sklepach pod zamkiem parę set centnarów prochu i parę tysięcy większych i mniejszych kul-granatów, co wystrzelone pękają. Pozapalał on zdrajca do tego prochu knoty ślarczyście, a sam z załogą odpłynął po nocy na statkach, co mu je Szwedzi podesłali. Nasi opanowali zamek, ale wnet prochy wybuchły i przeszło tysiąc naszych wyrwały w powietrze. Ja stałem wtedy na czatach z piką i toporem u pasa na wałach, gdy ze skle-





pów okienkami wypadła straszna światłość ognista, opaliła mi całą twarz i przewróciła na ziemię. Słyszałem huk piekielny i spadnięcie murów dokoła — a kiedy się podniosłem przy kupach zwalisk z ogromnym bólem na twarzy, wytrzeszczałem oczy na wszystkie strony i poznałem, mój miłosierny Boże! że zostałem jak pień ślepy. Ten płomień z prochów tego mi narobił! Lecyli mnie przez parę tygodni w lazarecie, i dziś żeby nie być nikomu ciężarem, chodzę oto z tą lirą, a mój Antoś oprowadza mnie od włoski do włoski, od miasta do miasta; z bliższych w tych stronach nikogo nie mam, co by mnie przytulił.

— I tak to, miły Boże! — dodał z westchnieniem głębokim — straciłem już z przed oczu tę piękną ziemię naszą, na zawsze....

Tu starzec otarł rękawem łzy, co się wysączyły z pod zaczerwienionych powiek, pod którymi tylko puste zaczerniały doły. Chłopczyzna pociągał też nosem, by stłumić szlochanie, na tę bolesną opowieść ojca.

Opowiadania tego wysłuchiwało i kilku innych, prócz opata zakonników biało odzianych, którzy z cicha wchodząc do refekta-

rza, otoczyli kołem biednego lirnika. Poczęli z sobą rozmawiać po łacinie, aż wreszcie ksiądz opat, skinąwszy głową na znak przyzwolenia, rzekł do lirnika.

— Trudno teraz wodzom pamiętać o swych nieszczęśliwych weteranach; nie mają oni na myśl, ani czasu potemu, kiedy kraj Szwed jeszcze rabuje, a i do koła nie śpią wrogli. Zresztą skarb Rzeczypospolitej ubogi i wyczerpany; ale właśnie od tego są klasztory, aby o ile możliwości dawały u siebie przytułek nieszczęśliwym kalekom, a rannym żołnierzom pomoc leczniczą. Otóż, pocciwy Wojciechu Socho, bo tak zda mi się, nazwaliście siebie, jako żołnierz kaleka, otrzymacie w naszym opactwie przytułek do śmierci. Zaś synka waszego, bracia zakonni będą uczyli rzeczy pożytecznych, — i przytem może się nam przydać do posług klasztornych, bo przedewszystkiem próżnować mu nie damy dla jego własnego dobra. Czyż tedy, zgadzacie się na to, Wojciechu?

— O! mój miły Boże, — z rozrzewnieniem zawołał niewidomy i wstawszy z ławy niepewnym krokiem zbliżał się w stronę opata, by mu kolana uściśnąć.

Ten pochwyciwszy wyciągnięte naprzód



ręce nieszczęśliwego, usadowił go znowu na ławie, mówiąc:

— Nie trudźcie się podzięką, lirniku! — dla nas jedynem podziękowaniem staje się to przekonanie, że spełniamy uczynek miłości bliźniego. Wy, ojcze Serafinie! — dodał zwracając się do obok stojącego, w poważnym już wieku Cystersa — od dziś będziecie mieli pieczę nad tym chłopcem; używając go do posług klasztornych, każecie któremu z kleryków udzielać mu codziennie po trzy godzinny nauk najpotrzebniejszych, a więc: religii, języka polskiego, nieco łacińskiego, pisania, rachunków, geografii, historii ojczystej, a także trzeba mu wyłożyć ministranturę, aby z czasem do mszy świętej mógł nam służyć. Ja myślę, że ułożywszy plan ojcze Serafinie, dwóch kleryków wystarczy do tej nauki.

Ojciec Serafin, skłoniwszy z uszanowaniem głowę, milcząco wyraził swe posłuszeństwo, a ksiądz opat mówił dalej, zwracając się do innego zakonnika:

— Wy zaś, ojcze Bonifacy, jako szafarz, stołować będziecie tego żołnierza — kalekę, aby go dochodziła co dzień w zwykłych porach żywność przyzwoita; opatrzyeie nie-mniej ojca i syna w czystą bieliznę, za-

rządziwszy, iżby ją prano na równi jak wszystkim innym w klasztorze. Wskażecie też im celkę na mieszkanie tę, która jest w końcu korytarza na lewo za Ukrzyżowanym.

Tu synek lirnika, ów Antoś ucałował serdecznie ręce i uściśnął kolana sędziwego opata, a ślepy lirnik wyciągnąwszy dłonie ku niebłosom, westchnieniami i szeptem modlitwy wyrażał swe podziękowanie.

— A teraz: Bóg z wami! — rzekł przełożony do ojca i syna; — zakonną zaś bractwę pożegnał łacińskimi słowami: „*Pax vobis cum fratres!*“ (pokój z wami bracia), dodając: — odchodzę, gdyż obowiązki moje wołają mnie do obejrzenia opactwa.

Po tych słowach opuścił refektarz. Lirnik prowadzony za rękę przez synka, poszedł za ojcem Bonifacym. Szli dolnemi korytarzami; po różnych zakrętach; echa ich kroków z kamiennej posadzki rozlegały się wśród cichych, łukowatych sklepień; aż minąwszy kilkanaście cel z prawej i lewej strony, na lewo po za obrazem Pana Jezusa na krzyżu, wymalowanym na ścianie, (który to obraz jeszcze po dziś dnia pozostał w opustoszałym opactwie), zawrócili w długi korytarz,



gdzie w końcu ojciec Bonifacy otworzył drzwi od celi, mówiąc:

— To wasza cela, Wojciechu; łóżko z posłaniem macie tu już dla siebie, a dla chłopca każę niebawem przynieść łóżeczko. Włóczękę przyniesie wam posługacz, a jutro z samego rana przyjdzie ojciec Serafin zabrać chłopca do pracy. A teraz Bóg z wami! — dodał odchodząc.

— Boże wszechmogący! dziękuję Ci za tyle dobrodziejstwa. Teraz już umrę spokojny z tą myślą, że nie wyrośniesz na próżniaka albo nieponia, mój Antosiu — rzekł starzec, wznosząc do góry dłonie i doly oslepionych oczu.

Gdy lirnik usiadł na stołku wskazanym mu przez Antosia, i oddał mu lirę, by ją gdzie w kątku postawił, chłopiec począł liczyć tynfy i groszaki zebrane w czasie grania, a bułeczki i owoce, które ciągle trzymał w zawiniętej pole sukmanki, ułożył na dębowym stoliku pod oknem. Opowiadał potem niewidomemu ojcu, co widział w celi: a więc mówił o krzyżu, o paru obrazach świętych zawieszonych na ścianie, — o piecu z katiłami polewanymi na żelono, który był jeszcze ciepły, — o owym stoliku i dwóch stołkach dębowych. Wreszcie wyjrzawszy oknem

przez szybki okragławo poobsadzone w ołów, mówił ojcu o ogródku, w którym rosło kilka drzew owocowych, nieopadłych jeszcze do cna z liści, i nieco krzewów porzeczkowych, agrestowych i malinowych; włoszczyzna już była wykopana, tylko trochę astrów nie ze wszystkim jeszcze opadło z kwiecia. Ogródek ten, jak zwykle wirydarze klasztorne, zamknięty był do koła w czworobok wystającym ścianami klasztoru.

Antoś zrazu prowadził ojca do kościoła korytarzami na modlitwy poranne i msze święte; lecz z czasem niewidomy tak przywykł do tych wędrówek po zakrętach korytarzy, że pomagając sobie kijkiem, którym stukał przed sobą, aby słuchem rozpoznać, jak daleko jest od ścian lub od innych przedmiotów, sam zawsze już chodził bez przewodnika do owego kościoła, łączącego się wprost z klasztorem.

Antoś uczył się codziennie po parę godzin, z razu u samego ojca Serafina, a gdy już chłopiec wdrożył się nieco w początki i tryb nauki, dwaj klerycy zmieniając się, wykładali mu początkowe nauki. Po południu, póki jeszcze ziemia nie zamarzła na dobre, pomagał ogrodnikowi to w owych wirydarzach, to w dużym, bardzo dobrze utrzymy-



wanym sadzie klasztornym, którego smakowite owoce sływały na okolicę, i który tak jak klasztor, był także otoczony murem. Tam pomagał ogrodnikowi opatrywać drzewa na zimę, oczyszczać je z uschłych gałęzi i wilków, zabezpieczać od przyszłych liszek, a pod wiosnę razem z nim okopywał drzewa owocowe, podlewał je w dołkach gnojówką, oskrobywał ze mchu, uprawiał ziemię pod warzywa i inne tym podobne czynił posługi. Chłopiec pojętny, chętny i nieleniwy, ucząc się co rano ministrantury, po trzech miesiącach nauki, już w białą komżę ubrany, służywał do mszy ojcom Cystersom, i ani razu się nie pomylił, kiedy trzeba było zadzwonić na „Sanctus,” na „Agnus Dei” lub „Podniesienie Najświętszego Sakramentu.” — Postępował też dobrze i w innych początkowych naukach.

W dnie pogodne, a szczególnie święte, pozwolono mu dla zdrowia wyprowadzać ojca na przechadzkę do miasteczka i dalej na świeże powietrze. Wielką miał rozrywkę Antoś w czasie tych wycieczek, bo często gęsto napotykał przejeżdżających konno polskich żołnierzy, traktem to od Sandomierza, to od Radomia, a nieraz przyglądał się i tym skrzydlatym wojakom, to jest hus-

sarzom; co to odziani w zbroje stalowe, z orlemy skrzydłami u ramion i kopiją, czyli dżdżownicą w rękę, długą na 8 łokci, z chorągiewką pod ostrzem, w tych niespokojnych czasach przesuwali się przez miasteczko całemi oddziałami, to w tę, to w ową stronę. Wówczas nie mógł się dość napatrzyć tym wspólnale i straszliwie uzbrojonym rycerzom: stawał i długo włócił za nimi wzrokiem, stojąc jak wryty w ziemię, że aż ojciec poclagał go za rękę, nagle z powrotem do opactwa. Za to na prośby chłopca, musiał mu ojciec opowiadać po drodze, co wiedział, o bojach tych skrzydlatych rycerzy z nieprzyjaciółmi i o tem, jak to sam walczył ze Szwedami, co Polskę ogniem i mieczem niszczyli, zostawiając z miast i zamków zaledwie kamień na kamieniu. Wtedy malec aż pięści zaciskał z gniewu, a ojciec go uspakajał w te słowa:

— Mój Antosiu, jak podrośniesz, da Bóg doczekać, to i tobie nie zbraknie okazji do ujęcia szabli, piki lub topora; boć mnie się widzi, że nieprędko nastanie spokój w tej naszej nieszczęśliwej ziemi. Siła złego na jednego, — a na większą bledę niema zgody między panami, chcieliby się też równać królowi, nie słuchają go i zawiść między nimi wielka. Oj! złe, złe się dzieje... Aleć wle-



ksze jest miłosierdzie boskie niż złość ludzka: jeżeli się naród nawróci do cnoty, do miłości bliźniego, do poszanowania praw swolch, do umiłowania całego społeczeńskiego dobra, to może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad tym skolatanym krajem, co to do niego każdy z po za granicy pcha się niby do zajezdnej karczmy, ale po to tylko, aby ten kraj obedrzeć, spalić i naród wyrznać, albo uprowadzić do niewoli, a wreszcie kraj na szmaty rozerwać. Wierz mi, Antosiu, choć ja ślepy, ale więcej widzę od tych; co oczy mają; bo widzisz, mnie już nic nie oślepiła na świecie, ani bogactwo, bo go nie widzę i nie pragnę, ani zazdrość, bo mi się nikt z czem lepszym w oczy nie rzuca, ani zbytki, bo bym ich użyć nie mógł. Ja całą duszą zagłębiał się w przyszłość, a nie w to, co wszystkich widomych otacza, i tej przyszłości nic mi nie zasłania, więc widzę ją jaśniej niż drudzy, a bardzo czarną, bardzo straszną i krwawą jest ona... Ale wszystko jest w mocy Bożej, mój Antosiu, pokutą jeszcze można dobić się szczęścia, lub choć odmiany na lepsze.

Tak gawędząc o tem i o owem, wracali z przechadzek do celi. Stary czasami musiał też po nieszpórach, w niedzielę, śpiewać

przy lirze zakonnikom w klasztorze o wojnach, bitwach przegranych lub zwycięstwach naszych, choć i pod białymi habitami były także te same serca jako i u drugich współzłomków; prawie każdy z tych zakonników miał tam gdzieś w Polsce bliżej, lub na okrajinie, to rodziców sędziwych, to brata i siostrę, to przyjaciół i znajomych, którym też z duszy i serca jak najlepiej życzył. Niektórych pieśni wojackich poduczył się też i Antek, i niezmiernie to miło było słuchać, jak z czułem dźwiękami liry, zgadzały się dwa głosy — jeden męski, basowy, a drugi dyszkanat dziecięcy.

Tak upłynął obydwom Sochom przeszło rok na opactwie wąchockiem. — Raz wleczołem, a było to w końcu lutego roku Pańskiego 1657, wielbny opat kazał przywołać do swojej celi obszerniejszej niż inne, starego lirnika na pogawędkę i na szklanczkę wystalego miodu, co go umięjętnie wazryli sami Cystersi w opactwie.

— Czy wiadomo wam, stary wojaku — rzekł opat — że znowu biednej naszej krajnie grozi nieszczęście, nowa wojna za pasem?

— Nie wiem, mój przewielebny ojciec — odpowiedział Socha — boć na świat się te-



raz nie wychylam wcale, jeno w duszy i modlitwie błogosławię mego dobrotliwego opiekuna za ten kącik bezpieczny z jego łaski. A jakież to lichy znowu nam grozi, najlaskawszy ojczy?

Tu wniósł na tacy kanafarz dzbanuszek cynowy z dwiema szklankami. Książdz opat nalał miodu, podał szklankę w rękę siedzącemu na ławie ślepcowi, sam też drugiej zakosztował i rzekł:

— Że istne lichy do nas idzie, to czysta prawda, bo oto, jak słyszę, aż z Siedmlogrodzkiej ziemi, co to jest przy Węgrach, książę, zwany Rakoczym, wybrał się nas odwiedzić ze zbieraniną z całego świata pałac i rabując po drodze. Powiadają, że ktoś tam temu książęciu bardzo zachwalił polski czosnek, co ma być smaczniejszy od siedmlogrodzkiego, przeto ciągnie tu do nas z wielką siłą, by pokosztować, bo czosnek lubi on bardzo! Ale żart żartem, oto tych obieżyświatów, zciągniętych z Wołoszy, z Węgier, Kozaczyzny, z Siedmlogrodzkiej krainy i Bóg wie nie z kąd, ma być aż 60.000 chłopów! Cóż wy na to Wojciechu? Czy może się oprzeć takiej sile nasza Polska, przetrzebiona morową zarazą, wycieńczona wojnami z ludźmi, mienia, dobytku.

— Włócej ma Bóg, niż rozdał — odpowiedział ślepy weteran — poznałem ja z bliska naszą szlachtę i nasz ludkę prosty; wiem, jaka tam odwaga siedzi w ich sercach; jaka bitność w ich piersiach, że takiej w świecie podobnej nigdzie nie znaleźć! Jeden nasz zuch i dziesięciu innym poradził. Chodził jeno o to, żeby była jedność a zgoda między naszymi panami hetmanami, wojewodami, kasztelanami koronnymi i litewskimi. Chodził jeszcze o to, żeby też czart, co go to pychę zowią, nie wziął tych panów w swoje pazury. Bo z pychy łatwo o zdradę, a przy zdradzie to już wszystko przepadło!

— Niestety! — rzekł zadumany opat — i ja się o to obawiam. Sidla ciężkich grzechów oplątały już nasze zamki i pałace; do dworów wleśkać się zaczyna pljaństwo i ciemnota, a lud naszych miast i wiosek, choć tak liczny, za nic jest miłany w obronie kraju.

— A przecież i my wleśniacy mamy pięści nie od parady — wtrącił Socha — jak się to okazało i w tej niedawnej potrzebie ze Szwedami pod Sandomierzem. Dobrze słowo, przyjacielskie oko szlachcica mogą nas poruszyć do broni; boć i nam miłe jest nasze społeczeństwo i ta święta ziemia tak prze-



śląknięta krwią naszą, ta nasza matka, co nas żywi i odziewa, — toć i bronić ją trzeba.

— Dzięki Bogu — ciągnął dalej opat — że mamy jeszcze garść zacnych przewodników, owych wodzów takich jak Czarniecki, Sobieski, i niektórzy z Lubomirskich, Wiśniowieccy i ów przedziwny ks. Paulin Kordecki, co przy lasce Maryi odparł od Częstochowskiego klasztoru czterdzieści razy liczniejszego wroga. Ci mężowie pełni wiary i poświęcenia się dla kraju, wierni królom, niczem się z drogi obowiązków obywatelskich zwieść nie dadzą, — a i szlachta też jeszcze tak nie zgłupiała, by nie wiedzieć, co białe a co czarne, komu służyć, a od kogo jak od zarazy stronić.

— Mnie się widzi — zauważył Wojciech — że i tym obleżyświatom, co to im się zachciało polskiego czosnku, dadzą jeszcze nas radę. Bo bez urazy, powiem to, co myślę: najostrożniejsza nawet siekiera nie zetnie dębu, jeżeli w tę siekierę sam brat dąb nie wlezie na toporzysko. A przecieć też takich zdrajców jak Radziejowski, co Szwedów sprowadził, dzięki Bogu, nie urodził się już więcej na naszej poczciwej roli.

— Daj to Boże! — odpowiedział ksiądz opat — i ja mam nadzieję w opece Najwyż-

szego i orędownictwie Matki Najświętszej za naszym biednym narodem, w którego piersiach zle jeszcze nie zamieszkało... Ach! żeby ten Czarniecki był bliżej; ale on pono w Lubelskiem, o jakich mil dziesięć od nas, popłera sprawę naszego miłościwego króla.

Poczem wychyliwszy jeszcze do poduszki po szklaneczce miodu, rozstali się obaj gawędziarze z sobą. Ślepy lirnik, stukając przed sobą kijkiem poszedł do swej celi, a ks. opat zmówiwszy pacierz, udał się na nocny spoczynek.

\*

\*

\*

Nad ranem, bicie na gwałt we dzwony wieży klasztornej przerwało sen obu Sochów — ojca i syna. Ciągłe bito ze wszystkich sił w dzwony większe i mniejsze. Na korytarzach rozlegały się szybkie stapania nóg wielu, nawoływania wzajemne i szum jakby nagłej burzy zahuczał pod sklepieniami klasztoru.

— Co to jest? — zawołał Wojciech, zerwawszy się szybko z łóżka.

— Nie wiem, mój tatku, — odpowiedział przestraszony chłopiec — może się pali w klasztorze?

Ubrał się szybko w zwierzchnią katanę i wybiegł na korytarz. Ognia nigdzie nie



było, ale białe habity zakonników migają tu i owdzie przy świetle świeczek i latarni, które trzymali w ręku. Jedni pakowali rzeczy, jakie znaleźli pod ręką, do kufrów, inși wybiegali to na dziedzińce klasztoru, to przed bramę, to do miasteczka, i niebawem sprowadzali kilka drabinastych wozów przed klasztor.

Oto, co się stało tej nocy. Ledwie ksiądz opat, leżąc na łóżku bezsennie i długo przemyślając o nowej groźbie wojny, przecie w końcu poczał zasypiać, gdy się rozległo nagłe stukanie do drzwi przedpokoju jego celi. Służący, który syział tam zwykle, spieszenie drzwi otworzył, i wszedł ojciec Serafin z latarką w ręku, bardzo strwożony.

— *Reverendissime pater!* (Najszacowniejszy ojczel!) — rzekł po łacinie, podchodząc do łóżka opata, — *magnum periculum!* (wielkie niebezpieczeństwo) grozi naszemu opactwu.

— Czyżby już Rakoczy był blisko? — zapytał opat powstając z łóżka.

— Właśnie przed chwilą przypadł konno pod bramę jeden z pancernych, którzy stali w Sandomierzu załogą, zbudził furtyana i przyszedł z nim do mnie, niosąc wieść straszną. Przednią straż armii Rokoczego, któ-

ry jest już za Wisłą, stoczyła bitwę z nieliczną załogą naszych w Sandomierzu, rozproszyła ich i dąży na koniach traktem wprost na Wychock. Pochwycili przewodników po wsiach i pod karą śmierci kazali się prowadzić do naszego miasteczka, a głównie o nasz klasztor pytali, jak pancernemu mówili chłopci, co to słyszeli.

— A gdzież jest ów pancerny? — zapytał opat.

— Ostrzegłszy nas, co tchu popędził w strony lubelskie.

Nlech uderzą na gwałt we wszystkie dzwony — polecił ojcu Serafinowi opat. — Nlech mieszczenie wiedzą, co ich czeka od tych rabusiów, i schronią się, gdzie kto może. W klasztorze nlech natychmiast zakładają konie do drabinastych wozów, napakować w nie co mamy najcenniejszego, przynajmniej parę wozów z miasteczka, jeśli się da. Bezzwłocznie zamknąć kościół a potem bramy klasztorne, skoro już będziemy gotowi do drogi ze złotem i srebrnem aparatem kościelnym. Będziemy uchodzili dalej traktem ku Radomiowi bocznem leśnem drogami.

Gdy się już kończył ubierać ksiądz opat, mówił dalej:



-- Ci rabusie widocznie ostrzą zęby na mienie opactwa, a może i na życie nasze. Jako ludzie bezbronni i nieliczni, tym najezdom rady nie damy, przeto słuszną jest rzeczą ująć przed nimi z duszą i ciałem. Wszak przed niewolą i sam Pan Jezus uciekał. Tymczasem też może nadbiegną tu i nasze wojska.

Niedosłuchał już końca tej mowy ruchliwy ojciec Serafin, wybiegłszy na korytarz, aby co tchu wypełnić rozkazy przełożonego.

Właśnie zgłęb i wrzawa, które potem nastąpiły w klasztorze, przebudziły tak nagle Wojciecha Sochę i jego syna.

Wszedł też do ich celi niebawem ojciec Serafin z latarką w ręku, mówiąc:

— Dalej, w drogę liniku! Wozy gotowe, da Bóg, że może ujdziemy cało przed siedmiogrodzkimi rabusiami.

— Czyżby już tak blisko byli? — zapytał Wojciech. — Wczoraj była z księdzem opatem mowa o wilku, a wilk tuż!

— Tak, i słyhać, że palą wsie i zabijają ludzi po drodze. Nogł zapas, Wojciechu, z odkładu niema ładu.

— A pocóżbym ja miał ztąd uciekać, mój dobry ojcie, z tego zakątka, gdzie mi

tak dobrze z łaski waszego zakonu? Ja ślepy, stary, oczów mi już nie wyjmą, bo ich nie mam, do wojska nie wezmą, bom niedołęga, a i z szelągka nie mam przy duszy, bo mi go nie potrzeba, to i czegoż miałbym się lękać tych zbójów?

— To przynajmniej wasz chłopiec niech z nami uchodzi, ale żwawo! bo czas nagli.

— Ja tam od mojego tatula nie odejdę — rzekł chłopiec na wpół z płaczem — przecież ja nic nie krzyw tym napastnikom, to mi dadzą pokój, bo i coby im ze mnie przyszło.

— Niema im co dowierzać — rzekł ks. Serafin, ale, gdy się upieracie, to już zostańcie w klasztorze; na żywność wam tu nie zbędzie. Antek wie, gdzie jest łamus, a w razie trwogi znajdziecie tu schronienie, o którym tylko my zakonnicy wlemy. Pójdź chłopcze, tylko prędko, pokaże ci tę skrytkę.

Poczem zaprowadził prędko Antka, świecąc latarką, na pierwsze piętro; tam weszli do obszernej komnaty z kamienną podłogą, w której sporo było różnych ksiąg w szafach opatrzonych półkami. Zakonnik zwrócił się na lewo od drzwi wchodowych ku plecowi, schylił się do płyty kamiennej,



która niczem się nie różniła od innych płyt w komnacie, i dużemi nożycami, które wziął z dębowego stołu, podważywszy ową płytę, odłożył ją na bok. Światło latarki ukazało spory otwór i kręte schodki kamienne, któremi się w głębi schodziło do obszernej dość izby, przeznaczonej zapewne na karcery dla kleryków, jeśli w czem zawinili. Z tej izby wychodziło wązkie a długie okienko do bocznej kaplicy z ołtarzem, tak że więzien mógł, niewidziany, słuchać nabożeństwa odprawianego tamże, — a drugie także wązkie okienko było ukryte w niszy, przepuszczając zewnątrz światło i powietrze do tej więziennej cell. Dotąd jeszcze można oglądać tę celę, za uchYLENIEM rzeczonyj płyty.

— Pamiętajcie, chłopcze, dobrze to miejsce — mówił ojciec Serafin. — W razie potrzeby znajdziecie tu bezpieczne schronienie; nikt was nie znajdzie, jeżeli szczerze za sobą płytę założycie znowu w swoje miejsce. Powietrze przepuszczać wam będzie okienko wychodzące na wały. A teraz idź do ojca, pilnuj go troskliwie; mam w Bogu nadzieję, że się znowu niedługo zobaczymy ze sobą, skoro ta burza przemknie nad naszym opactwem.

Za chwilę zaturkotały wozy: wszyscy

zakonnicy wraz ze służbą opuścili opactwo, zabierając z sobą toboleki, pieniądze i co było najdroższego w skarbcu. W klasztorze pozostał tylko ślepy starzec i dwunastoletni chłopczyna na straży ogromnych murów. Prawda, został jeszcze i furtyan, który mieszkał w domku przy bramie wchodowej. Miał on przykaz zaryglować mocno bramę jedną i drugą, nie wpuszczać nikogo, żeby zyskać na czasie, i dopiero, gdyby już pierwszą bramę wyważali najeźdźcy, schronić się po za drugą, a gdy już i tę wyważą, ukryć się z dwoma Sochami w lochu wiadomym Antkowi.

Niedługo było czekać na strasznych gości. Zaledwie rozwidniało, pokazały się na wzgórzach od Wierzbnika huzary siedmiogrodzkie konno, z obnażonemi pałaszami w rękę, z pistoletami w olstrach. Był ich cały szwadron. Antek z furtyanem weszli na wieżę i ujrzeli o jaką dobrą milę jeszcze odaloną główną armię Rakoczego. Walilo się to ciarstwo niby wąż olbrzymi z gór w wąwozy, z wąwozów na góry, traktem i przez pola, a końca armii nie było jeszcze widać. Spiewy ich wojenne rozlegały się zdala, niby wycie tysięcy wilków. Za nimi gorzały włoski, a czarne dymy wznosiły



się wysoko pod szare, marcowe chmury.

Wkrótce podjazd huzarski stanął na rynku. Miasteczko jakby było wymarte; czasem tylko przemknął się chyłkiem jakiś żebrak kaleka, lub schyłona wlekiem baba z kosturą w rękę. Cała ludność złożona z chrześcijan, bo żydom wtedy nie wolno jeszcze było mieszkać w Wąchocku — cała ludność uciekła dalej w bory i lasy. Nawet dobytek domowy uprowadzili z sobą i tylko gdzieś tam zabłąkane kaczki i kury, szperając w śmieciach na rynku, stanowiły załogę miasteczka, uszedłszy ręką swych gospodyń w pośpiechu.

Główna armia Rakoczego zatrzymała się opodal miasta i rozłożyła obóz po okolicznych wzgórzach. Oficer podjazdowy, zbliżywszy się pod bramę opactwa zamkniętą, kazał swej konnicy walić w nią głowniakami pałaszów, na znak, aby otworzono. Brama dębowa, okuta gwoździłami dużymi i żelaznymi sztabami, wydawała głuche jęki pod uderzeniami pałaszów, lecz nikt nie otwierał, i najmniejszego znaku życia nie dano z klasztoru. Dobijanie się coraz gwałtowniejsze nie ustawało. Gdy i teraz nikt nie kwapił się z otwarciem, oficer wysłał jednego huzara z raportem do księcia Rakoczego.

Poczem z obozu przybył do miasteczka nowy oddział konnicy, z wyższym już, znać, oficerem na czele, bo na szamerowanej gęsto kurtce miał szerokie, złote hafty, a na kapeluszu puszyste, zielone pióra. Na jego rozkaz bramę rozbito toporami, które przy słodłach mieli niektórzy żołnierze. Oficer ten, jak się później przekonano, był to Graf Katan okrutnik, choć zresztą odważny żołnierz. Wybitą bramą wszedł w orszaku żołnierzy na dziedziniec klasztorny. Część tylko została przed bramą na koniach, pilnując koni tych, którzy z nich zsiadli. Z obnażonymi pałaszami w jednej i z pistoletami w drugiej ręce, podeszli pod drzwi dębowe także okute, wiodące wprost do klasztoru. I te drzwi były mocno zatarasowane. Rozbili je znów toporami, weszli na korytarze, lecz i tu żywej duszy nie było. Obeszli korytarze na dole i na piętrze, — wszędzie pustki i grobowe milczenie, a drzwi od cel pozamykane. Wreszcie znaleźli w ustronnej celi ślepego Wojciecha; nie chciał się bowiem ukryć wraz z Antkiem i turtyanem, gdy nieprzyjaciel począł rozbić bramy, mówiąc: że jemu, kalece-dziadowi, nic wrogowie złego nie wyrządzą. Żołnierze znalazłszy go w celi, jak klęczał z rękami złożonemi do modlitwy,



schwycili go za kołnierz i ponlewierając go, przyciągnęli przed hrabiego Katana.

— Gdzie są mnichy? — zapytał ślepego surowo, łamaną polszczyzną.

— Żebym miał oczy, tobym widział, gdzie się podzieli — odpowiedział stary — ale żem ślepy jak pień, to i nie wiem, gdzie się obracają.

— Gdzie skarbiec opactwa? — pytał go dalej.

— Alboż ja, biedny żebrak, o skarbcu opactwa wiedzieć mogę? — odparł lirnik.

— W kluby z nim! — zawołał grał na żołnierzy — jak mu kości zatrzeszczą, to będzie śpiewał inaczej!

— Żołnierze, z cygańskimi twarzami, pochwycili ślepego, rzucili na ziemię i powrozami zaczęli mu okrutnie wykręcać ręce i nogi. Biedny Wojciech ścisnął tylko zęby, zajączał głucho, ale nic nie odpowiedział.

— No! zwolnić go na chwilę — zawołał grał Katan. — Czy teraz powiesz, gdzie są bogactwa tego klasztoru? gdzie mnichy schowali pieniądze? gdzie reszta ludzi zniknęła z klasztoru?

— Psy jakieś — jęknął z szalonego bólu Wojciech — pastwicie się nad kaleką,

któremu się już niewiele na tym świecie należy. Niech was robaki stoczą za żywa, wy złodzieje, cygany, zbóje! Żebyście mi tu język z gardzieli mieli wyrwać, to wam jeszcze nic nie powiem, wy podli podpalacze, rabusie!

Grał skinął na tych samych cyganów i kazał leżącego na ziemi lirnika bić plectniami, wiele im się żywnie podoba, — a sam rzucił się z oddziałem toporników do cel, które kazał odbijać, a potem i do kościoła. Pozwolił rabować żołnierzom w celach do woli, i gdy już drzwi z korytarzy wybito do kościoła, wpadł z całą czeredą do jego wnętrza. Tu kazał pozdzierać z obrazów złote i srebrne sukienki świętych, pakować do worków, i o zgrozo! zdjąć z Ukrzyżowanego złocistą koronę wysadzaną klejnotami, przytem zabierać z ołtarzy cenne wota pobożnych, a z zakrysty stare kielichy srebrne i parę uszkodzonych monstrancji, których już Cystersi nie zdążyli, czy zapomnieli uwieźć. Potem dobrali się rabusie do grobów pod kościołem i tam wyrzuciwszy nieboszczyków, pochowanych w białych habitach, zabrali cynowe trumny opatów i paru świeckich panów, ubranych w bogate kontusze. Z cynowych trumien mieli łać kule do musz-



kletów, a świeckich nieboszczyków obdarli ze złocistych pasów, ściągnęli im z palców kosztowne pierścienie i skradli szable w złocistych pochwach wysadzanych drogiemi kamieniami, jak: turkusy niebieskie, szmaragdy zielone i rubiny czerwone. Wreszcie ze stajni i obory w dziedzińcu, wypędzili inwentarz klasztorny, a potem podpalili klasztor wewnątrz i zewnątrz, a też i domowstwa w rynku. Dokonawszy tych złodziejskich sprawek, lotry obciążone zdobyczą, złączyły się z główną armią na wzgórzach, gdzie u nóg Rakoczego złożyli łupy i pokazali mu zabrane konie, bydło i trzodę.

Ksiązę na znak zadowolenia podał rękę grafowi Katanowi.

Tymczasem klasztor gorzał coraz więcej; dym i gorąco poczęły się przeciskać okienkiem do skrytej celi, gdzie się Antek z furtyanem ukrył. Ślepy Wojciech uporczywie zostawszy w swej celi, ufał w swe kalectwo i niedołęztwo, że przecież mu na jezdźcy nic nie zrobią. Jakże się nieszczęsny strasznie pomylił! Zbity niemiłosiernie, obolały w rękach i nogach od tortur, nie mógł się męczennik podnieść z podłogi, lecz na czworakach dopełzał do swojej celi, do której zawsze mimo ślepoty trafiał. Tym-

czasem wpadł za nim do celi z korytarzy dym duszący i buchnął płomień, który zabrał na tamten świat nieszczęśliwego!

Gdyby jeszcze chwilę dłużej Siedmlogrodzianie broili w opactwie, zginałby zapewne i Antek z furtyanem w swoim ukryciu. Już i do nich owemi dwoma okienkami przedzierały się ogniste języki i dym czarny wlewał się smugami. Na szczęście swoje spostrzegli, spojrzawszy przez okienko wychodzące na zachód, że podjazd z łupami opuścili już Wąchock zmierzając na wzgórza do armii. W samą porę wydostali się jeszcze ze swej nory; więc przeskakując przez rozpalone głównie dusząc się w dymie, wpadli do celi, aby się zobaczyć z lirnikiem. Nieszczęśliwy leżał już bez duszy, opalony wśród zwęglonych kawałków łóżka, stolika i krzesła. Ogień strawiwszy, co tu zastał pożywnego dla siebie, przeniósł się na wyższe piętro, paląc po drodze drzwi, okna, sprzęty, a nie tykając grubych murów, które tylko osmolił na znak swego tu pochod.

— O! mój wszechmogący Boże — zawołał Antek, rzuciwszy się na kolana przy ciele ojca — na takiż wam koniec przyszło, najdroższy tatulu! . . . — i zalał się rzewnymi łzami. . . . — Chyba żyć nie będę — lka-



jąc zawołał — jeżeli się wam zbóje za to kle-  
dy nie odpląć!... O, mój biedny; najuko-  
chańszy, najlepszy tatulu!

Gdy się jeszcze wśród łkania zalewał  
łzami, furtyan przynaglił go do wyjścia z dy-  
mu i gorąca; włącz zabrawszy opalone szczą-  
tki Wojciecha, ponieśli je z klasztoru w miej-  
sce bezpieczne, żeby potem sprawić mu po-  
grzeb po chrześcijańsku.

W mieście gorzał jeszcze podpalony  
przez najeźdźników rząd domków drewnia-  
nych. Antek z furtyanem schronili się do  
ustronnego pustego domku, wśród drzewin  
stojącego na dość wyniosłym wzgórzu, i  
tam ostrożnie spoglądali w dal po za miasto,  
śledząc, co też porabia Rakoczego armia?

Do wieczora nic w niej nie zaszło no-  
wego; przez ulice miasteczka tylko, w górę  
traktem ku Szydłowcowi przemykali jeźdź-  
cy, wysyłani zapewne na zwiady, dla powzięcia  
języka, boć Rakoczemu było nie tajno, że  
jeszcze żyją Czarniecki, Jan Sobieski i Lu-  
bomirscy, tylko nie wiedział, że nie byli w  
tych stronach. Wczoraj, jak wszystkim było  
wiadomo, Czarniecki znajdował się ztąd o  
mili dziesięć w Lubelskiem.

\*

\*

\*

Nazajutrz, o świcie, straszne krzyki

przebudziły Antka i furtyana, śpiących na  
górze w ustronnym domku. Krzyki te, a  
potem huk armat dolatywały ich z za miasta  
od strony Sandomierza. Antek wszedł po  
drabce na dach domku, i tam przykucnąwszy  
za komlnem, opowiadał furtyanowi stojące-  
mu na dole o tem, co widział z góry.

— O! dla Boga, dla Boga, coś się tam  
dzieje, a to groch z kapustą na prawdę.  
Tysiące żołnierzy na koniach, z gołemi sza-  
blami w ręku, a niektórzy ze skrzydłami u  
ramion wpadli na tych cygańskich zbójów!  
To nasi, to nasi tam przylecieli!

— Chwała Bogu i Matce Najświętszej!  
zawołał z dołu furtyan, składając ręce ku nie-  
bu. — No, a coś tam jeszcze widzisz Antku,  
mów, mów mi kochanku.

— Straszne rzeczy! straszne rzeczy ztąd  
widzę. Naprzód z boku nasi walą z armat  
w ich kupy, a oni się odstrzelują. A tu,  
z drugiej strony od Wierzbnika, jakiś ry-  
cerz z brodą, z piórem u dużej czapki, z sza-  
blą świecącą w ręku, rąble te pluchy jak  
kapustę; za nim sypnęli się z ogromnym  
krzykiem, widno, nasi rycerze na koniach.

— Słyszeć to słyszę wszystko, — przer-  
wał furtyan — ale ztąd nic nie widzę.

— Hej, hej! — ciągnął dalej Antek



— ci skrzydlaci z dżdżami naprzód, walią w sam środek tamtych, co się też odcinają. O! przewracają ich na kupę, rąbią, Insi z długich strzelb i z pistoletów strzelają.

Istotnie huk ręcznej broni — muskietów i pistoletów wypełniał przerwy między działowemi strzałami.

— To nasza hussarya, te skrzydlate wojaki! — zawołał z radością furtyan. — O! gdzie oni uderzą, tamby i samo piekło rozbili; nikt im się nie ostoł na świecie. A dużoż tam jest naszych, Antku?

— Ha, mniej daleko niż tego ciarastwa — odpowiedział chłopak. — Ale żebyście, moi drodzy, widzieli, jakie to tam wielkie zamieszanie teraz! Tamci bronią się też, jak mogą, ten i ów z naszych spadnie z konia, ale coś im się jednak nie wiedzie: nasi ciążą ich kupę spychają z góry. O! lecą na leb na szyję do wąwozu nkiej barany. A wszędy przodem ten rycerz brodaty z piórkiem u czapki i z jakąś pstrokatą skórą na plecach.

— To widno nasz pan wojewoda Czarniecki, bo on to ma taki płaszczyk z lamparcią skórą! — zauważył furtyan. — Ale kto by się to był spodział, żeby on w jedn

noc dziesięć mil konno ze swoimi dragonami zrobił? boć przecie on prosto z za Własy z pod Tyszowców, gdzie stał, tu przyleciał. O! on tak umie.... a gdzie się pokaze, tam wróg niech żegna się z duszą i z ciałem.

Teraz i furtyan nie posiadając się z radości, począł wlażyć po drabinie na dach, i wreszcie stanął przy kominie obok Antka.

— Chryste Panie! Matko Najświętsza! — zawołał — a toż to ci rozbójnicy uciekają jak owce nazad ku Sandomierzowi. A jest tego jak mrowia. A nasi im wsiedli na karuki i pędzą jak stada świń przed sobą... Tak, tak, to nasz pan Czarniecki tam hula, poznał go dobrze.

— Co to znaczy? co to znaczy? moiście wy dobrzy — spytał nagle Antek — tysiące ich broń rzucają, to padają na kolana, to chorągiewkami kłaniają się do ziemi? O! mój Jezusieczku drogi, toż tam radość dla naszych.

— Widzisz Antku, oni się poddają naszym. Masz sobie teraz panie Rakoczy nasz polski czosnek! Dali ci nasi nietylko czosnku ale i dzięglu z kminem! Ale co to? jakis oddział pędzi tu ku miastu ze starszym na



przodzie? Matko Najświętsza! to ten sam graf Katan, co to nasz klasztor wczoraj obrał i spalił, a twojego ojca brał na męki i batogami obił, boć ja to wszystko słyszał z owego lochu, jenom ci nie chciał nic mówić. Patrz! patrz! rzucają broń niektórzy! O temu koń upadł, znać, postrzelony ... a! to koń grafa, co teraz tam pleszo ucieka ku opactwu. Poznaję go dobrze, bom mu się przyjrzał z okienka skrytej celi, jak wczoraj z lupami uchodził.

— Kryją się po domach — dodał Antek — a ten graf zbój wpadł do klasztoru; za nim pędzą tu nasi w żelaznych pancerzach. O! nie wytrzymam, jak mi Bóg miły, muszę choć jednego za mojego tatula sprzątnąć.

Tu gwizdnęła armatnia kula tuż ponad kominem.

— I ja z tobą lecę Antku! — dodał furtyan — boć i niebezpiecznie tu stać dłużej: kule jak groch latają ponad dachami z tych wzgórz, a człek też jeszcze dość rażny, choć nie dzisiejszy, to się tam przydać mogę.

I obaj prędko zeszli z dachu, popędzili na rynek, gdzie leżały pałasze porzucone na ziemię, i pistolety w olsztrach przy siodłach

zabitych koni. Antek porwał za taki jeden pistolet i w chwili kiedy znowu jakiś piechur przebiegał rynkiem, wystrzelił do niego; trafił, bo piechur rozciągnął się jak zając. Furtyan też położył trupem jakiegoś kozackiego hajdamakę. Wtem wpadł oddział naszych, samych pancernych; każdy kawalerzysta miał długi pałasz, pikę i pęk piór na czuble szyszaka.

— Tam się skrył w klasztorze ten starszy, grat, co klasztor spalił — wołał do nich Antek.

I poszedł naprzód jako przewodnik. Za chwilę wyciągnęli z ogrodu klasztorowego grafa Katana, z głową opuszczoną, zbladłego na twarzy jak ściana.

— On mi zabił mojego tatula! — rzekł Antek — widziałem jeszcze powrozy u nóg i rąk opalonych, które mi go męczył.... on klasztor zrabował.

— Wolno ci w łeb mu strzelić — rzekł oficer pancerny — to twój jeniec chłopcze. Masz mój pistolet i wal jak w dzika.

Antek odwiódł już kurek, gdy graf błagająco zawołał z kiepska po polsku:

— Moja ty klopak! mieć ty litość nade-



mną, ja tylko pełnić rozkaz naszego pana wojewoda.

— Do okrucieństwa nie ma nikt prawa kogoś zmuszać — rzekł oficer. Ale do wyboru masz chłopcze: albo krew za krew i roztrzaskaj mu kulą głowę, lub, jak tego nie uczynisz, zabiorę grafa jako jeńca i posiedzi u nas, dopóki się hojnie z niewoli nie wykupi.

— Daruję życie tej gadzinie — przemówił Antek — niech go sumienie gryzie za zbrodnie.

Tu oficer odebrał pałasz z bogatą pochwą grafowi i oddając go obnażony Antkowi, rzekł:

— Tobie, chłopcze należy się ten pałasz, bo stałeś się panem życia tego jeńca. Jak podrośniesz na junaka, będziesz miał oręż gotowy, a stał w nim dobra, jak widzę po jego brzeszczocie. A i ta pochwa bogata do ciebie należy.

Antek z radością i podziękowaniem odebrał pałasz i przyglądał mu się bacznie ze wszystkich stron. — Grafowi skrępowano ręce i pod straż oddano.

Tymczasem za miastem zawrzała znowu bitwa; świeże hufce nadbiegły Siedmiogrodzianom na pomoc, nie dając naszym za wy-

granę. Na nic się to jednak nie zdało. Mimo gęstych strzałów nadbiegłej artylerii, nasze działa zdemontowały im najprzedniejszą baterię, dragony Czarnieckiego wysiekiły artylerzystów, a hussarya i piechota cudzoziemska zostająca na polskim żołdzie, dokonały reszty. Gdy zeszedł z pola bitwy Rakoczy, gdy pokotem legły trupy najeźdźców, dało naprzód drapaka kozactwo, za niem pierzchła Wołosza, aż wreszcie i węgierskie pułki, które się najbliżej były, poszły w rozsypkę lub dostały się w niewolę. Mało ich zresztą uszło, bo nasi siarczyście się bili a uciekający natknęli się na hufce naszych, co konno i piechotą, szlachta i chłop, od Ostrowia i Zawichosta, splesząc do boju, przecięły im drogę. Dość, że cała prawie armia tu i w okolicy, częścią została wybita, częścią poszła w zajęcie. A było tej armii z obozowymi ciurami do 60-ciu tysięcy! Tak tedy szczęśliwie pan Rakoczy najadł się polskiego czosnku, że aż i sam do niewoli się dostał.

Nasz Antek z furtyanem co sił uderzyli we dzwony na wleży opactwa, głosząc tem zwycięstwo naszych, — a te dzwony milej jakoś teraz dzwięczały, niż wtedy, gdy na gwałt w niebito po nocy.



Wojewoda Czarniecki, pędząc tysiące jeńców przed sobą, rozłożył wojsko swoje na kwaterach w ocalałych domkach Wąchocka i na opactwie, gdzie pożar już zgasł, a reszta obozowała na rynku, zawodząc przy ogniach wojackie pieśni. Sam też wojewoda stanął kwaterą w klasztorze, mając obok siebie po celach uwięzionych: Rakoczego, obu grafów Katanów i inszą starszyzną siedmiogrodzką. Rakoczy uczynił targ o swoją skórę, i za milionowy okup uprosił sobie zdrowie, zcstawiając w zakład umówionego okupu grafów Katanów i innych wyższych oficerów swoich. Odprowadzono go do granicy, niby transportem jakiego przybłądę i tam go puszczono z jednym tylko ordynansem jego oficerem. Ci Katanowie zmarli potem jako niewolnicy na zamku w Łańcucie, drwa rąbiąc i do kuchni je nosząc, bo Rakoczy umówionego okupu nie przysłał. Sam on też w zgryzotach i rozpaczach rychło żywota u siebie dokonał; bo trzeba wleźć, że kiedy Czarniecki bił tu jego wojsko, tam w Siedmiogrodzkiem księstwie, czyniąc wet za wet, Jerzy Lubomirski pustoszył jego kraj ogniem i mieczem i z matki wziął wielki okup.

Tak to chłop strzela, a Pan Bóg kule

nosił — mówi nasze staropolskie przysłowie.

Teraz przy pomocy furtyana, zajął się Antek pogrzebem ojca; złożono tymczasem ciało w podziemnych grobach kościoła.

Oficer, który wziął do niewoli w klasztorze grafa Katana, zdając raport panu wojewodzie, rzekł, iż miejsce, gdzie się tenże ukrył, wskazał chłopiec 12-cie lat mieć mogący, i jak mu mówiono, położył trupem siedmiogrodzkiego piechura. Pan Czarniecki, który zajął ocalałą szczęśliwie w pożarze celę księdza opata, kazał przywołać przed siebie owego chłopca. Ten stawił się zaraz, wlokąc za sobą długi pałasz grafowski. Wojewoda, człek wspaniałej postawy, ze stalowym naplerśnikiem, którego jeszcze nie zdjął, z gęstą szpakowatą już brodą, dzióbą na twarzy, przeoranej zabliźnioną już raną, przyjął chłopca uprzejmie. Ten spojrzawszy na wielkiego wodza, o którym tyle słyszał pieśni od nieboszczyka ojca, upuścił szablę na ziemię i objął obiema rękami wojewodę za nogi. Czarniecki pogłodziwszy twarz rumianą malca, wypytywał się go o nazwisko, z kąd rodem i co tu w Wąchocku porabia? Opowiedział mu chłopiec w krótkich słowach wszystko, co się go tyczyło, a



gdy pan wojewoda usłyszał, że ślepego ojca prawie mu zabili pod batami, targnął gniewnie swą brodę i rzekł:

— Gdzież teraz chcesz pójść chłopcze i co robić ze sobą?

— Nie mam już ojca ani matki, mogę iść w świat wszędzie, gdzie mię oczy poniosą — odpowiedział Antek.

— Lecz zapracować jeszcze nie możesz na siebie — mówił wódz — i potrzebujesz opieki. Ale żeś dzielnym chłopcem i trochę już zasłużyłeś się krajowi, przeto mogę cię odesłać do dóbr moich do Czarnicy, gdzie się dalej wychowywać będziesz, zanim ci się ręka nie wzmocni do szabli.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — przemówił Antek nieśmiało i objął znowu rękami kolana Czarnieckiego — ja się już czytać, pisać i rachować nauczyłem tu w klasztorze, jabym wolał co innego, jeżeli łaska....

— Cóż takiego? mów śmiało.

— Ja chciałbym już służyć wojskowo, może mi się znowu uda zabić jakiego cygana lub Szweda.

— Ha-ha-ha! — rozśmiał się dobrotliwie wojewoda — jeszcześ za młody do rąbania Szwedów, bo mają oni twarde karki

mój chłopcze. Łacniej zjeść wyskwarzone szwedy z kaszą\*), niż się tamtym dobrać do skóry. Ale kiedy już tak pragniesz służby wojskowej, to Mości rotmistrz Wąsowicz! — zwrócił się do owego oficera co pojmał Katana, — weźmiesz chłopca pod swoją pieczę. Do boku każesz mu Waść ten oto długi pałasz, który jak widzę jest oficerski i nie nasz, przekuć na piękną szabelkę i postarać mu się o małego kuca do konnej jazdy za nami. Ale czy ty umiesz, chłopcze, jeździć konno? — zapytał w końcu.

— Jasny wojewodo! ledwie miał szósty rok, a już jeździłem z koniarzami na trawę i to się nieraz jechało, że aż wiatr świszczął po uszach.

— No, dobrze, dobrze, mój rycerzu — rzekł z uśmiechem wojewoda — będziesz miał i konika i szablę, ale trzymać się będziesz taboru, zanim podrośniesz o tyle, żebyś w szeregach stanął. Moim zuchom jeszczebyś teraz nie sprostał w jeździe, bo nieraz przez noc i dziesięć mil trzeba zrobić, jak to się stało i teraz.

Poczem poklepał jeszcze Antka po ramieniu i poruczył go powtórnie opiece rot-

---

\*) Lud nasz, skwarki smażone ze słoniny, zowie też żartobliwie szwedami.



mlstrza Wąsowicza, tego samego, co to w Nawojowej za Krakowem wymusztrował i uzbroił chłopów na Szweda.

Radość Antka nie miała granic. Myśl, że i on z czasem będzie bił Szwedów, albo jakich tam cyganów ze Siedmłogrodu, nie dała mu tej nocy prawie zamrużyć powiek. Chłopiec to był dorodny, dobrze zbudowany, milego oblicza i grzecznego obejścia; którego nabrał w klasztorze, — to też stał się ulubieńcem chorągwi, gdzie przywodził pan Wąsowicz.

W parę dni przechadzał się już dumnie w mundurku kawaleryjskim, z jasną szabelką u boku, i w czerwonej krakowskiej czapeczce, z którą się rozstać nie chciał, jeno ją teraz w pawie pióra ozdobił. Szabelkę przekuto mu w kuźni wąchockiej, pochwę skrócono i jelec dopasowano z owego długiego pałasza grafa Katana.

## ROZDZIAŁ II.

Grają, graja i bębnują,  
Wojaczkowie maszerują,  
Jalym też tak maszerował  
Żeby mi kto konia siodłał

.....  
Przez wieś jechali, ludzie gadali:  
Co to za dziewczyna, co to za jedyna  
z rycerzem jedzie?

(Z pieśni ludowej.)

~~~~~  
Antek jako pacholek jedzie do Danii nad morze. — Co zdumiewającego zobaczył? — Jeździ na wojny z panem Czarnieckim, a potem nad drugie morze. — Co dostał od umierającego wodza? — Powraca na opactwo, — znowu się udaje na wojnę i kogo obronił w bitwie z Pohaniami? — Słowo też o Sobieskim.

Skoro się tylko wieść rozeszła po okolicy o wielkiem zwycięstwie Czarnieckiego, powrócili niebawem Cystersi do opactwa. Najeźdźnicy nie dobrali się do piwnic klasztornych, bo o nich nie wiedzieli; przeto książdz opat kazał wytoczyć beczki starego miodu, i raczył nim pana wojewodę a też i wszystką starszyznę polską przez dni kilka. Dla wojska z browarów opactwa dostarczono okseftów dobrego piwa, a piekarze wąchoccy nie mogli nadążyć z pieczeniem chleba dla wojska z żyta i pszenicy opactwa.

Czarniecki kazał przypędzić do klaszto-



ru kilka sprzętów ogromnych, węgierskich wołów, w miejsce zabranego z opactwa przez Siedmigródzian i zarzniętego już bydła. A miał teraz z czego dawać wódz dzielny: boć przecie cały obóz nieprzyjacielski dostał się naszym w ręce, a z nim i mnóstwo długorogich, siwych wołów, używanych do pociągu armat i bagażów. Znalazły się też i aparaty i cenności skradzione z kościoła, i te natychmiast zwrócić kazał Czarniecki. Na odbudowę klasztoru częściowo stojącego teraz w zgłiszczach, zostawił też trochę węglerskich dukatów, których znaleziono sporo pod namiotem Rakoczego. Zresztą cały klasztor odbudował wkrótce i opasał nowym murem ksiądz opat tak z funduszków znacznych opactwa, jako też z zasiłku jednego z panów Ossolińskich, o czem świadczy dziś jeszcze napis łaciński wyryty na kamieniu wchodowej bramy.

Kazał też ksiądz opat wyprawic piękny pogrzeb zmarłemu Sosze, a ojciec Serafin eksportował go na cmentarz.

Niedługo mógł odpoczywać wojewoda Czarniecki z wojskiem w Wąchocku. Z dywizją swoją pomknął w poznańskie, by chwycić szwedzkich niedobitków, a pod koniec sierpnia następnego 1658 roku, z rozkazu króla,

wyciągnął przez niemieckie kraje do Danii na pomoc tamtejszemu królowi, który był wtedy w wojnie ze Szwedami. Że nikt tak dzielnie jak Czarniecki nie umiał się sprawić z nimi, przeto padł wybór na niego do tej potrzeby. Zostawiwszy tabory w kraju w Czaplinku, z wyborowym żołnierzem, w cztery tysiące paręset koni dotarł do Danii. Była z nimi i hussarya Zamojskiego, wojewody sandomierskiego.

Jakkolwiek nasz Antek miał poruczenie zostawać tylko przy taborach, przecież uprosił, że mu wojewoda jako pacholce pana Wąsowicza, pozwolił z czeladzią w te nadmorskie strony na kucu swoim pojechać. Szła też na pomoc Danii i brandeburska piechota, ale dragonom Czarnieckiego i hussarzom Zamojskiego wypadło dokonywać najtrudniejszych rzeczy; cudem waleczności, zsiadłszy z koni, brali fortece prawie niezdobyte.

A oto jeszcze jeden dowód niesłychanego męstwa i odwagi. Ponieważ na wyspie Alsen oddzielonej od lądu cieśniną morską, biwakował znaczny oddział Szwedów, co się Duńczykom dawał we znaki, przeto Czarniecki postanowił ten oddział wyciąć, lub wciąć do niewoli. Ale w jaki sposób? —



łódkami podpłynąć nie można, boby je Szwedzi dostrzegli i wystrzelali naszych jak kaczki; więc mało myśląc Czarniecki, kazał obrąbać brzegi z lodu, bo się już morze zcinało, zatknąć pistolety za kołnierz, ładownice uwiązać u szyi, i w kilkaset koni, bo tylko wtedy miał trzy chorągwie przy sobie, hul na wodę! Było pływać przez tę morską cieśninę szerzej jak pod Krakowem przez Wisłę, ale w pośrodku było miejsce takie, gdzie koń zgruntować mógł i odpocząć. Który źle pływał, to go między dwóch dobrych umieszczono i nie dali mu tonąć. Wreszcie wpadł na czele swych junaków wódz na wyspę i niespodzianie napadniętych Szwedów, pomimo, iż się bronili, w części wyciął, a w części jako jeńców zabrał. Ci potem opowiadali: „rozumieliśmy o was, żeście djabli nie ludzie“. — Wprawdzie konie już były do pływania próbowane, ale bądź co bądź, co to były za konie! co za ludzie na nich siedzieli!

Działa się ta konna przez morze przeprawa w listopadzie w 1658 roku.

Patrzył na to wszystko z brzegu własnemi oczyma nasz Antek, co w takiej otoszkole młodociane spędzał lata.

W tę porę krajowi nowe zagroziło nie-

bezpieczeństwo od strony Carstwa moskiewskiego, które wysłało wojsko liczne i mocno uzbrojone. Któż, jeśli znowu nie Czarniecki miał iść na ratunek? Więc Jan Kazimierz co rychlej odwołuje go z Danii, powierza mu nowe dowództwo, a on znowu wszędy zwyciężając, okrywa się chwałą to pod Polonką, to pod Lachowcami, Kozieradami, nad Bugiem i Narwią. Zwycęstwo nad rzeczką Basią przyniosło mu w nagrodę starostwo tykocińskie, co mu je sejm nadał na wniosek króla.

Nasz Socha miał już wtedy lat 15 skończonych; mężniał i rósł zdrowy jak orzech, silny jak dębczak. Już teraz jako wyrostkowi pozwolił mu pan Czarniecki powodować swego konia, jeździć z drugimi na zwiady i to już nie na żadnym kucyku, ale na dzielnym bachmacie, jako i drudzy. Nieraz udało mu się dobrze sprawić z szablą w dłoni po nowych wycieczkach i przepatrywanjach czat nieprzyjacielskich.

Wreszcie wylągnął z chorągwiemi wojewody na Ukrainę, gdzie znowu potrzeba się było ucierać to z Kozactwem jeszcze nieuspokojonem, to z hordą koczujących Tatarów. Sędziwy Czarniecki polubił bardzo tego chłopca za jego sprawność, przychyl-



ność i to rwanie się do boju. Jak była chwila spokoju, brał go zaraz pod swój namiot, i tam mu pozwolił sobie usługiwać, mieć staranie o koniu bojowym, o rzędach i zbroi, — co wszystko spotykało tylko najdzielniejszych i najzręczniejszych pacholków w tego wodza wojsku. Czasem też pozwolił mu już z bandoletem, to jest krótką na cztery piędź strzelbą o lejkowatym otworze, wyjeżdżać na podjazdy z drugimi czeladnikami. A gdy szło o wyjednanie pomocy tatarskiej przeciwko niezliczonym, zbuntowanym watahom kozackim, wziął go nawet wódz z sobą do Krymu, który to półwysep oblany jest z trzech stron morzem Czarnem. Mając tylko przy sobie 13 jeźdźców i Antka Sochę, wśród wielu niebezpieczeństw między dzikimi pohańcami, dotarł przecie Czarniecki do hana tatarskiego i otrzymał przyrzeczenie pomocy.

Powróciwszy szczęśliwie na Ukrainę, Czarniecki został mianowany przez króla wojewodą kijowskim; i po niektórych jeszcze utarczkach z Kozactwem, znękany trudami i ranami, ciężko zaniemógł. Ulegając prośbom przyjaciół, wracał dla odpoczynku z Ukrainy ku Lwowu.

Antek nie odstępował chorego pana ani

na chwilę. W drodze spotkał Czarnieckiego goniec królewski z przywilejem na buławę hetmańską, to jest z piśmem mianującym go hetmanem czyli wodzem nad całem wojskiem, gdy wyciąga w pole do bitwy; i wtedy to taki hetman trzymał w ręku tę buławę, czyli złocistą laskę grubą, na znak swojego dostojenstwa.

Zanadto się spóźniono z tą nagrodą, która mu się już dawno należała. Rzekł też na łonie boleści: „przewidziałem, że dadzą mi chleb wtedy, jak w gęble zębów nie stanie“. Ale Czarnieckiemu nie chodziło o zaszczyty: pobudką jego niezmordowanej pracy wojennej była wielka miłość ojczyzny.

Czując się coraz gorzej, w kilka dni potem, zegnał towarzyszków broni; Antkowi kazał wypłacić zasługi, i w dodatku podarował jedną ze swolch ślicznych szabel, z pochwą wysadzoną drogimi kamieniami, upominając go przytem, żeby całe życie swoje młiej ojczyźnie tak zewsząd zagrożonej wiernie służył.

Potem kazał sobie przyprowadzić ulubionego wierzchowca, na którym tyle bitew wygrał i pleścił jego smutnie zwieszoną głowę. Wreszcie przyjąwszy Najświętsze Sakramenta, Bogu ducha oddał w chacie wło-



ściańskiej, we wsi Sokółówce na Wołyniu w miesiącu styczniu 1665 r., przeżywszy 66 lat tylko. Ciało jego odwieziono do dziedzicznej wsi Czarncy, leżącej pod Włoszczową, w dawnym województwie kieleckim.

Antek do ostatniej chwili czynił posługi pogrzebowe swemu dobremu panu i zalany łzami razem z wieloma innymi, rzucił zmarzłą grudę ziemi na jego trumnę.

Uporawszy się z tem, co mu leżało na sercu, dopiero zawrócił się ku rodzinnym stronom swoim. Na własnym koniu jadąc, przybył prędko pod cmentarz rodzinnej wioski. Zsiadłszy z konia, ukląkł przy mogiłę matki, dziś już łodygami piołunu i pożółkłą trawą porosłej. Potem pojechał do Wąchocka, gdzie serdeczną modlitwą uczcił grób swego rodzica. Z cmentarza udał się na o-pactwo, które już teraz całkiem było odnowione. Ojciec Serafin zaledwie mógł poznać w młodym, dorodnym żołnierzu owego Antka, którego przed ośmiu laty uczył wraz z dwoma klerykami, co teraz już księżmi w zakonie zostali.

Opat bardzo mile przywitał i przyjął młodego wojaka w swej celi. Było to w lutym. Ogień wesoło huczał i trzeszczał smolnem drzewem na obszernym kominie. An-

tek po wojskowemu ubrany, jak dragon, chcąc się pochwalić bogatą szablą, podarowaną mu przez wielkiego wodza, obnażył ją z pochwy i podał księdzu opatowi. Błysnęła jasno przy świetle kominka. Szanowny zwierzchnik klasztoru szczerze powinszował Antkowi tego hetmańskiego daru, a oglądając modrawą stal brzeszczota, zawołał nagle:

— Patrz no, młody rycerzu — tu pod wzierunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przy rękojeści jakiś napis drobny wyryty?

— A tak przewielebny ojcze! — potwierdził Antek — wszak to z łaski czcigodnego dobrodzieja, jestem dziś w stanie od-czytać, że tam stoją te słowa: „Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli, urosłem“, co często nieboszczyk rad był powtarzać w obozie.

— Istotnie — rzekł opat — że nie z majątku ani pochlebstwa, ale krwawą pracą dorobił się hetmaństwa ten wielki wódz. Pokój jego pobożnej duszy! Jakaż to szkoda — dodał — że drugi dzielny wojownik, Jerzy Lubomirski, co też żwawo trzepał Szwedów i Siedmiogrodzian, nie wytrwał w wierności dla króla i teraz się jawnie grzbie-



tem odwraca od niego, Boże litościwy, raczże nas uchować od jawnego rokoszu i bratobójczej wojny.

— Amen! — dał się słyszeć głos wchodzącego ojca Serafina — już nawet, *Reverendissime Pater!* obawa ta się ziściła. Słyszałem przed chwilą w miasteczku, że Lubomirski ciągnie już z rokoszanami przeciwko królewskiemu wojsku i lada dzień do domowej wojny przyjdzie.

— *Mater Dolorosa!* (Matko Bolesna) — zawołał straplony opat — tegom się właśnie obawiał najbardziej. Po domowej wojnie, która się z Kozaczyzną skończyła po śmierci Chmielnickiego, alści przychodzi nowe nieszczęście domowe! A nic tak kraju bezsilnym nie robi, jak kiedy się swoi ze swoimi biją.

— I o cóż idzie temu wielkiemu panu, wielebnu ojcowle? — zapytał Antek.

— Szło o to, mój wojaku, że król z żoną Maryą Ludwiką, chcieli za życia naznaczyć swego następcę i wojsko stałe urządzić, aby raz ład i porządek ustalić, a usunąć te ciągle przy wyborach królów zamieszki. Lubomirski, zachęcany przez Austryę, podniósł krzyk wielki, iż to jest przeciwko wolności panów i szlachty zamierzone, i pociągnął do

siebie wielu innych panów z ich wojskiem nadwornem. Król za to odsądził go od czci i na gardło skazał.

— Mnie się widzi — zauważył bystro Antek — że temu wielkiemu panu chciałoby się samemu kiedyś królem zostać i dla tego tak się koguci?

— Być to wszystko może — odpowiedział ksiądz opat, a zażywszy w zamyśleniu z tabakierki, którą wyjął z pod habita — dodał: — ledwieśmy się Szweda pozbyli z kraju, głównie dzięki Czarnieckiemu, a oto nowa, straszna bieda za kołnierz lezie, i to jeszcze od swoich....

Gdy Antek schylił się do ręki opata, chcąc go pożegnać; ten spytał:

— Gdzie chcesz iść chłopcze? — czy się zaciągniesz pod chorągiew jednej ze stron walczących?

— Wolałbym w niewoli tatarskiej całe życie paść barany — odrzekł — niż ręce we krwi braterskiej pławić. Kiedyć tak już teraz idzie u nas, to i ta szabla moja już mi niepotrzebna!

Tu odjął szablę z pendentu i pasa, a wręczając ją opatowi dodał:

— Proszę łaski przewielebnego ojca, niech ta szabla zostanie w schowaniu, w kla-



sztorze, nie dla tego, abym miał zasypać gruszek w popiele, i żebym się odrzekał sieni kiedy Szweda, Tatara i Turka, ale ja teraz powrócę do roli, do mojej ukochanej wioski, gdzie się urodziłem i tam chcę dzielićcioma palcami, jako parobek na chleb pracować, dopóki znowu nie będzie potrzeba obcemu nieprzyjacielowi w oczy spojrzeć.

— Po cóż aż o kilka mil masz szukać roboty chłopcze — rzekł przełożony — kiedy i w naszym opactwie nie zbraknie pracy. Wszak wiesz, że do nas należą wioski, a i tu w opactwie mamy inwentarz roboczy. Wybierz sobie zatem, jakie chcesz zatrudnienie, a my ci będziemy płacić za usługi przyzwolte i wikt zdrowy a nieskąpy?

— Kiedy tak, to prosiłbym przewielebnego jegomości, żebym był przeznaczony do koni, bo do tych zwierząt już od małości przywykłem w tych pochodach wojackich, a co prawda, kosić też i orać dopiero bym musiał się uczyć.

Zatem Antek został forysiem, a po dziśszemu stangretem do cugowych koni samego opata; ani na chwilę się jednak nie rozstawał ze swoim dragońskim mundurem. Obwoził księdza opata w kolebce, jak wtedy

nazywano karety. po dobrach klasztornych, w których były kopalnie kamieni młyńskich i kuźnice, dające opactwu okazały dochód. Cystersi zaś czynili posługi religijne, utrzymywali szkołę w Wąchocku, dawali przytułek kalekom i rannym. Gospodarstwo pod ich nadzorem szło dobrze; bo tak Cystersi jak i Benedyktyni wiele wpłynęli na podniesienie u nas gospodarstwa rolnego, ogrodniczego i przyczynili się niemało do szerzenia w kraju oświaty.

Tymczasem do koła huczała już krwawa wojna domowa; Lubomirski w kilku bitwach pogromił wojska królewskie. Pod Mątwami niedaleko Inowrocławia w Wielkopolsce aż 4000 ze strony królewskiej legło na placu bitwy. Słowem, klęski za klęskami. W zbrodniczym tym rokoszu zginął też do szczytu niezwykły pułk Czarnieckiego. Wreszcie przywódca rokoszu trawiony zgryzoty sumienia, choć był zwycięzcą, przeprosił króla i dobrowolnie skazał się na wygnanie z kraju.

Na Ukrainie bunt synów Chmielnickiego trwał ciągle. Podniósł on go był z osobistej urazy do panów, a znalazł grunt sposobny w rozdrażnionych Kozakach za to, że panowie i rządcy ich po licznych majątkach,



a też i żydzi arendarze, uciskali ten lud i nie szanowali ich wiary. Królowie polscy pragnęli zapewnić im prawa i bezpieczeństwo, ale sejmy nie dopuszczały zgody. Chmielnickiemu zrazu szczęście posłużyło; został nawet przez króla mianowany hetmanem kozackim, ale on pragnął zostać królem Ukrainy. Wreszcie pobity pod Beresteczkiem, stracił wiele na swej sile. Wchodził też w zмовy z nieprzyjaciółmi Polski, którzy go podburzali do buntu, a Tatarom, by ich pomoc pozyskać, zaprzedał dziesiątki tysięcy ludu małopolskiego w niewolę. W tej domowej wojnie obie strony się nie oszczędzały, lecz rozszalałe kozactwo pastwiło się nawet nad bezbronnymi, kobietami i dziećmi szlachty, czyli jak mówili, lachów, żywcem je paląc, a w rozbewstwie i wściekłości mordowali nawet i lud ukraiński, a po miasteczkach, które zdobyli, rabowali i palili. W końcu nie mogąc dać rady Chmielnicki wojskom Rzeczypospolitej, poddał się obcym: żałował potem tego, lecz było już zapóźno. Część Ukrainy, za Dnieprem odpadła od Polski i przyłączoną została do Carstwa moskiewskiego.

W czasie, gdy mówimy o naszym Antku, jeszcze synowie Chmielnickiego burzyli

lud ukraiński, wchodząc raz w ugodę z Polską, to znowu przerzucając się do Turków i Tatarów i podszuwając ich na Polskę; a Turecczyzna była jeszcze wtedy potężna.

Takie to były wtedy, przed 200 laty straszne czasy! Szwed, Brandenburczyk i Siedmiogrodzianin chcieli już nawet rozerwać Polskę na szmaty i podzielić się nią; z drugiej strony Turek, Tatarzyn i inni czyhali na zgubę tej nieszczęśliwej krainy. Tylko garść dzielnych rycerzy, kilku walecznych wodzów, i lud uczciwy, utrzymali Jana Kazimierza na tronie i odpędzili wrogów — ale na krótko; bo znowu zerwała się burza od południa i wschodu: potężna Turcja chciała zabrać kraj aż do Bałtyckiego morza i Polaków w bisurmanów przemienić.

Alili znowu Bóg miłosierny ulitował się jeszcze nad grzesznym narodem i zesłał męża, który złamał turecką potęgę. Był nim Jan Sobieski. Wychowany przez ojca starannie, wykształcony wysoko, wyuczony w kraju i za granicą w sztuce wojowania, już na lat 11 przed śmiercią Czarnieckiego, jako hetman polny bojował ze Szwedami, Turkami, Tatarami, Moskwą i z Kozactwem. We trzy lata po zgonie Czarnieckiego, za umiejętność wojowania i za waleczność, został



hetmanem wielkim koronnym; bo Litwa miała też swoich oddzielnych hetmanów, podległych również królom polskim.

We dwa lata, jak nasz Antek Socha powrócił do opactwa, zerwała się straszna nawałnica od morza: Czarnego, Kaspijskiego i od stepów azyatyckich z nad rzeki Wołgi, to jest z południa i wschodu. Tatarzy krymscy, nogajscy i buczaccy w ogromnej liczbie, rzucili się hordami na skolataną Polskę. Dawnym zwyczajem wpadli naprzód na Ukrainę i Ruś Czerwoną, które tyle razy waleczna szlachta polska broniła od jarzma tatarskiego i tureckiego i od ostatecznej zagłady.

Więc jak szarańcza wała się dzikie hordy owych Tatarów; kto nie zdążył uciec w lasy, padał pod nożem i krzywą ich szablą, lub został wbity na pal, a młodszych wzięto i pędzono w jassy, to jest do niewoli w dzikie stepy. Łuny pożarów, rabunek, mordy, jęki i płacze napadniętych mieszkańców, towarzyszyły ciemnym, dzikim twarzom tatarskim, o małych ukośnych oczach, ze spłaszczonymi nosami. Przyłączyło się do tych hord 24 000 zbuntowanego Kozactwa pod dowództwem Doroszeńki i okrucieństwami dorównali Tatarom.

W tej trwodze wielki hetman Sobieski,

opuszcza z rozkazu króla Poznańskie, gdzie uganiał się za Jerzym Lubomirskim, i z nielicznym, ale dzielnym wojskiem, spieszy na przelaj wrogów w Ruś Czerwoną, by zabiec im drogę i nie puszczać ich dalej. Jednocześnie wyszedł rozkaz po województwach, aby się szlachta zbierała pod chorągwie Sobieskiego, który dniem i nocą na Ruś pospieszał. Książę też z ambon zachęcał młodzież zdątną do oręża, aby pod wodzą kasztelanów, zresztą jak kto mógł, spieszyła bronić kraju i świętej wiary przed pohanami. Wiele szlachty trzymało się Lubomirskiego przeciw królowi, a panowie niektórzy na Litwie zazdroszcząc sławy i znaczenia Sobieskiemu, nie kwapili się jakoś ze swymi chorągiewami stanąć przeciw dziczom tatarskim. Dość, że Sobieski na obronę całego kraju, nie miał przy sobie więcej nad 10,000 rycerstwa przeciw óm Tatarów!

Czcigodny opat Cystersów wymownemi słowy przemówił też z kazalnicy do zgromadzonych na nabożeństwie mieszczan wąchockich i parafian z wiosek okolicznych, aby kto może, dążył z drugimi na pole bitwy, mówiąc: bo tu o wolność naszą i o wiarę świętą idzie. Burmistrz wąchocki podobną zachętę kazał ogłosić na rynku przy biciu w bęben.



Cóż na to nasz młody Socha? — Odpowiemy, że pierwszy stanął w pogotowiu na bój z nieprzyjacielem. Poprosił księdza opata o zachowaną szablę swoją, poostrzył jej brzeszczot na toczalniku, i całując błyszczące ostrze, rzekł:

— Pójdź moja przyjaciółko ze mną! Byłaś w ręku wielkiego wodza, może i mnie się z tobą poszczęści.

Burmistrz dał mu parę pistoletów z miejskiego cekhauzu (zbrojowni), a ksiądz podarował dzielnego, polskiej rasy konia, silnego, z dużą piersią, bo tego, na którym przyjechał z wojaczki, odstąpił do pojazdu i ten miał już trochę sforsowane nogi. Stanęło do szeregu dziesięciu innych chłopaków na ochotnika z miasteczka i włosek sąsiednich. Koni i ubrania dostarczyły jednym stajnie opactwa, a drugim dwory sąsiednie; burmistrz dał im palasze i pistolety ze zbrojowni. Na wyraźne też jego żądanie, Socha jako bywały już na wojnach, został dziesiątnikiem tego oddziałku.

Ubrany w dragoński, świeży mundur, Antek poprowadził ochotników gościńcem na Sandomierz, Krzeszów, Tarnogród, Żółkiew, Zborów ku stronom Pokucia, kędy

spodziewał się natknąć na chorągwie wielkiego hetmana.

Jechali rażno młodzi wojacy; szable im u boku brzęczały, a pięciu z nich miało przy siodłach długie kopije, o stalowych ostrzach, z chorągiewkami, podarowane im tu i owdzie we dworach, gdzie stawali na posiłek lub na nocleg. Powoli, w drodze oddziałek ich zwiększył się do dwudziestu w przejeździe przez Ruś Czerwoną; gdyż tu i owdzie to jakiegoś mieszczanin Rusin, to sługa dworski do nich przystawał już uzbrojony dobrze. Lud ruski wszędzie przyjmował chętnie tych, co szli bronić ich życia i mienia przed nawałą tatarską.

Gdy się już znaleźli za Zborowem na Podolu, a było głucho, pusto do koła, i poczęło się zmierzchać, Antek dla rozrywki zaśpiewał pieśń żołnierską, której się jeszcze wyuczył, gdy przy Czarnieckim chadzał na wojnę. Więc śpiewał, a inni wtórzili:

W kotły, bębny uderzyli  
Na wojenkę zatrąbili.

Hej, hej! hejże ha.  
Na wojenkę zatrąbili.

Trzeba żołnierza szanować,  
Chleba, soli nie żałować.

Hej, hej! itd.

Chociaż żołnierz nieubrany,



Przecie idzie między pany.  
Hej, hej! hejże ha!  
Przecie idzie między pany.

— Panie dziesiętniku! — zawolał jeden z szeregowych — ja zaśpiewam weselszą piosnkę, co to ją wojacy w naszych sandomierskich stronach śpiewają. Tutaj taki step, że aż clarki z przykrości chodzą człekowi po grzbiecie.

— Spiewaj bracie — rzekł Antek — póki czas jeszcze, bo mnie się widzi, że niedługo przyjdzie nam i zagrać, ale w szable z bisurmanami: czy wy czujecie jakąś spaleniznę w powietrzu?

— Czujemy — odpowiedziało kilku — wodząc nosem po powietrzu.

— Ale to chyba zdaleka z wiatrem tak zaleciało, bo dokoła nie widać żadnych budynków, co by się mogły palić — zauważył któryś z szeregowców.

— To i zaczynam bracie — odezwał się ten pierwszy. — A wy mi przyspiewujcie:

Od Krakowa aż do Lwowa  
Droga wszędy jest gotowa —

*Chór.* Choć chłodno i głodno,  
Żyjem sobie swobodno!

Żołnierz koszuli nie pierze,  
Bo gotową z płota bierze,

*Chór.* Choć chłodno i głodno,  
Żyjem sobie swobodno!

Indyk we wsi wyskakuje,  
Już żołnierza we wsi czuje.

*Chór.* Choć chłodno i głodno,  
Żyjem sobie swobodno!

I kur także nie opuszcza,  
Jak mu mocno głód dokucza. —

— Ha, ha, ha! — zagrział śmiech naraz z dwudziestu gardzieli. — Zdałoby nam się teraz jaka tłusta kura w mleku, na tym pustym stepie — śmiejąc się mówili.

— Choćby i bez mleka — zauważył inny — gdy tymczasem konie parskając, szły miarowego stępa, po szlaku stepowym.

— Jezu Nazareński — wykrzyknął Antek, splinając się na strzeżonach. — Czy widzicie, jak się tam okropnie pali między drzewami?

— Oj! ridnyji moi! bojary — zawolał jeden z Rusinów — taj ohoń, krík i płacz!

— I szable mlgoczą i błyszczą od płomienia... To napad jakiś — rzekł Antek.

— Wże naichaw Tataryn! — odezwał się inny Rusin — a szob wy propadały pohane syny!

— Sza! milczenie! — rzekł półgłosem Antek — widocznie jakaś szajka tych zbójów



najechała odosobniony hutor. Naprzód! ostrożnie a cicho, i baczność! bo może się tu trzeba będzie zmierzyć z rabusiami.

— Ta wy naszli, Polaki! Sława Bogu! — przemówił głos jakiś z uboczu.

Wszyscy spojrzeli w stronę wysokiego sitowia, z pośród którego wychylił się jakiś wieśniak w szarej sukmanie, z odkrytą głową i przestraszoną twarzą, o ile przy zapadającym zmroku mogli to zauważyć. Przystanęli.

— Co tu porabiasz? — zapytał Antek.

— Tu napaw Tataryn, oś wln hutor horyt, — ubliży naszoho hospodara, ta maty i doczku ukrwały. Ridnyli braty! pidite i odberit doczku pohany synom! Niechaj Boh błogosławył!

— A ilu ich tam? — zapytał Antek.

Ruslin objaśnił go, że najwięcej płędczlesięciu.

— A nas dwudziestu jeden! rzekł Antek. — Dalej! niema się co namyslać. Pan Czarniecki nigdy nie liczył nieprzyjaciół. Teraz z cicha ich podejdziemy, druhy! a potem z hukiem i z szablami na ich lby golone jak piorun spadniemy.

Pojechali dobrego klusa, a gdy się już znaleźli blisko gorejącego hutoru, Antek rozdzielił swoją dwudziestkę na dwie części; ko-

rzystając z zupełnej już ciemności, za pierwszym wystrzałem z pistoletu mieli razem z dwóch stron uderzyć na plądrujących Tatarów.

Na podwórku za powalonym parkanem, Tatarzy o płaskich nosach i wystających policzkach, w baranich czapkach i kożuszkach, bo to już był październik, uwijali się tu i owdzie. Gołe szable ocierali ze krwi. Pod bukowymi drzewami leżały trzy trupy, a przy nich związana, w pół siedziała, w pół leżała na ziemi lat może 14 dziewczyna.

Dwóch Tatarów zajętych było zarzynaniem owiec, inni przygarniali na ognisko głównie brane z dopalającego się domostwa. Do siodeł przytroczono na koniach worki, znać wypchane droższymi sprzętami, lub też zrabowaną odzieżą. Z obórki i stajenki wypędzono bydełko i konie. Zaraz poczęli do tych zwierząt strzelać z łuków długimi strzałami.

Wtem rozległ się strzał przed wrotami i naraz z dwóch stron wpadli na podwórko z krzykiem nasi ochotnicy.

— Jezus Marya! — zawołali pędząc na koniach z obnażonymi szablami w ręku.

— Błogosławy Boże, pomohite aniele! — krzyknęli Rusini.



Krzyknęli i Tatarzy po swojemu „Allah! Allah!“ i szybko dosiedli koni.

— Duchem! bracia! sieć tych psów, zbójów! — zachęcał Antek uderzając pierwszy.

Nasi istotnie, jak piorun wpadli rabuśom na kark, i nuż rąbać szablami, kłuć spiasami, a też pomagali sobie i pistoletowemi strzałami. Zaraz z początku część Tatarów chciała uciec drugą stroną podwórka, ale tam ich przywitani nasi. Wnet kilku spadło z koni; kilku plechotą, korzystając z nocy, uciekło w pole. Zjawił się i ów Rusin z sitowia, a porwawszy za krzywy tatarski bułat, co leżał na ziemi, dzielnie też pomagał naszym wojakom. Reszta bronila się zacęcie, ale ich nasi zmogli, tak że nie wyszło ćwierć godziny, a już ze dwudziestu pohańców położyli trupem; dziesiątek ich uciekło w zgiełku bitwy, a dwudziestu porąbanych na śmierć, wilo się z jękiem na ziemi. Wkrótce i oni wyzłonęli ducha. Nasi niedawali pardonu tym zbójcom; stracili też niestety! dwóch ze swolch na śmierć zabitych, a jeden był lekko ranny. Piętnaście koni zabrali im nasi; kilka padło w bitwie, a reszta rozplierzchła się po polu. Łupy zrabowane dostały się naszym.

Pomiędzy zabitymi mieszkańcami hutoru jeden był Rusin ze służby, a drugi mężczyzna ubrany w długą kapotę brunatną z wyszyciem niebieskiem i czerwonymi wylogami u klap i u kołnierza. Obok leżała martwa kobieta w białej katance i w zielonej spodnicy. Było to małżeństwo, właściciele hutoru, czyli folwarczku. Ubiór ich wskazywał, że pochodzili z Małopolski, coś jakby także od sandomierskich stron, z kąd nasz Antek pochodził.

Dziewczę zwiazane obok, musiało patrzeć na obraz straszliwy—na martwe ciała swoich rodziców!

Na wpół żywą, zbladłą jak ściana, rozwłazał natychmiast Antek z powrozów, i jak umiał, uspakajał, gdy biedne dziewczę klękawszy przy zwłokach ukochanych, głośnym teraz wybuchnęło płaczem, oblewając łzami i całując martwe, zimne ręce to ojca to matki...

Nie było jednak czasu do stracenia: zbiegli tatarskie mogli tu naprowadzić większą siłę; przeto Antek trzymając jeszcze okrwawioną szablę, wydał swoim rozkaz, aby natychmiast na koń wsiadali. Rusinowi, który się w polu pokazał, a był parobkiem na hutorze i w czasie rabunku Tatarów u-



ciekł, kazał Antek parę sztuk pozostałego bydła popędzić do sąsiedniego miasta Buczacza, a kilkanaście zdobytych koni tatarskich, przytroczono do koni ochotników; jednego konia podarował Antek owemu parobkowi za to, że tak tłukł Tatarów. Wreszcie łupy odbite wraz z szablami tatarskimi poprzywłazywano do łąków siodeł.

Przez Buczacz wypadło jechać dalej naszymu oddziałowi. Tam właśnie zamierzył Antek oddać komu w opiekę dziewczynę wraz z jej bydelkiem ocalonem i odbitymi łupami. Że zaś, jak mówiono po drodze, hetman Sobieski stanął już ze swoją nieliczną armią pod miastem Podhajcami, tem wlecej przeto należało pospieszyć naszym junakom.

Przed odjazdem kazał jeszcze Socha prędko wykopać rydlami, znalezionemi przez parobka Rusina w hutorze, trzy doły w ogrodzie, — w jednym pochowano tymczasem zabitych rodziców dziewczęcia; w drugim poległego służącego i dwóch swoich ochotników, a w trzecim na wieczny sen kazał pogrzebać zabitych Tatarów. W chwili sposobnej, jak o to prosiła sierotka, ciała jej rodziców miały być przeniesione na cmentarz katolicki w Buczaczu lub w mieście Brzeżanach, co też ztąd niedaleko było.

Wreszcie usadowił Antek płaczące ciągle dziewczę przed sobą na koniu, i otuliwszy ją ciepłą burką, ostrożnie przytrzymywał, by mu w pochodzie dalszym nie spadła. Rusin, pędząc konno dwie krowy z hutoru, poprowadził ich manowcami i wężozami, dobrze sobie znanymi, gdyż się zawsze obawiali pogoni tatarskiej. — Jechali bardzo piękną okolicą, nieopodal rzeki Stypy; lecz widoków okolicy podziwiać nie mogli, jadąc w noc ciemną i bezksiężycową.

W drodze dowiedział się Socha, że dziewczyna zwała się Basia Radoszanka. Ojciec jej podczas wojen z Turkami, Tatarami i zbuntowanymi Kozakami, służywał jak czeladnik wojskowy w pułkach księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, co to był błaznem bożym dla hajdamaków kozackich, i za usługę dostał od niego na własność hutor teraz spalony, z dość sporym łąnem gruntu i piękną łączką, a przytem drzewa z lasu tego księżęcia na gospodarskie budynki. Jakżeż się radośnie zdziwił, gdy z opowiadania Basi przekonał się, że są złomkami oboje, bo jej ojciec pochodził właśnie z sandomierskiego ze wsi Wawrzyńczyce, oddalonej od Wąchocka tylko o mil parę. Stary Radosz dostał się na Podole z chorągwiami Krzysztofa Ossoliń-



skiego, wojewody sandomierskiego, i tam po śmierci swego pana przeszedł do służby obozowej u księcia Jeremiego. Basia, jak opowiadała Antkowi, urodziła się w Wawrzynicach, ale słabo te strony pamięta, bo ją matka, mającą trzy lata życia powiozła na Podole, ciągnąc za mężem.

— Czybym ja się mógł spodziewać — pomyślał w duchu Antek — żebym tu na tej okraźnie mógł swoją ziłomkę, sandomierszanę spotkać!

Za dnia stanęli nazajutrz w Buczaczu. Antek poprowadził swój oddział przed bramę obronnego zamku, który ze wzgórza widniał z daleka. Państwa Potockich właściciele Buczacza nie było w zamku; pan wojował, a żona przebywała we Lwowie; ale w oficynie mieszkał podstarość pana Potockiego; tam więc po spuszczonej moście przejechawszy w dziedziniec, udał się Antek ze swoją sierotką. Pani podstarość, kobieta czulego serca, posłyszawszy o niedoli Basinej, przyjęła ją chętnie, dając przytułek bez żadnego wynagrodzenia. Wzięc dwie krowy, które przypędził parobek z hutoru na rynek, sprzedał Antek, a za te pieniądze kazała zaraz pani podstarość sprowadzić z hutoru ciąża rodziców Basii do Buczacza, gdzie je pocho-

wano i kosztą pogrzebu opłacono. Biedna Basia mogła teraz, kiedy chciała, popłakać i pomodlić się nad mogilkami swoich najdroższych. Gdy ją Socha żegnał, spiesząc dalej z oddziałem, Basia ucałowała mu ręce mimo jego wzbraniania, jako swemu wybawicielowi od niewoli i hańby, a zanosząc się od płaczu, błagała go, aby teraz, gdy już Tatarowie jej ojców zabili, zabrał ją po wojnie w strony rodzinne. Słyszała bowiem nieraz od rodziców, że tam jej wuj i ciotka mają żyć jeszcze.

— Ten grunt — mówiła do Antka — co został, splenięzycie, i będziecie mieli czem kosztą mojej podróży opłacić. Niech ja tam zamieszkam — błagała — bo te strony krwią przesiąknięte będą mnie w dzień i noc straszyły.

— Bo też niema jak nasze śliczne, sandomierskie strony! — odezwał się Antek z dumą — co to tam za lud piękny! jakie pola a góry, jaka sławna na cały świat pszeniczka nasza! Więc bądź zdrowa Basiu! jak mi Bóg da szczęśliwie z wojny powrócić, zawiozę cię tam bez ochyby, a na drogę nie będziesz potrzebowała swego gruntu sprzedawać.

I wyszedł do swego oddziału, z którym pomknął dalej, krótko tylko popasłszy konie na plebanii.



### ROZDZIAŁ III.

„Hetman wojsko kołem toczy,  
Turczynowi pluje w oczy;  
Wozy tańczuchem spinają,  
Bo się trwogi spodziewają.“

(Z pieśni ludu sandomierskiego.)

O tem, jak hetman Sobieski skończył przy Podhajcach z  
wszelkiem Tatarstwem i Kozactwem, — i co tam nasz  
Antek zrobił z głową tatarskiego hana? — Z kim  
jedzie po wojnie jako setnik do sandomier-  
skiej ziemi, i co tam porabia? —  
Zakończenie.

Tatarzy głęboko w Polskę zapuścili wtedy zagony. Nasz Socha po drodze spotykał gromady wystraszonych żydów, uciekających w nieładzie, a też mężczyzn i kobiet wiejskich. Te ostatnie podążając za drugimi, unosiły w płachtach płaczące dzieci. Czarne, niezliczone stada wron, kawek i kruków, znać spłoszone przez nadciągające Tatarstwo stepami, z niemilem krakaniem leciały na zachód.

Antek tu i owdzie przemawiał po junaku do uciekających parobczaków, aby się wstydzili takiej sromotnej ucieczki przed plugawem pogaństwem, ale raczej do jego oddziału przystawali i poszli razem z wielkim hetmanem bić tych heretyckich białurmanów, co niewinnie ich zagrody palą, rabują, a ich ojców, matki, braci i siostry, rodaków wresz-

cie, mordują lub w jassy daleki uwłazanych do koni pędzą. Ci i owi usłuchali jego zachęt, zawracali się i przystali do jego drużyny, a on dał pod nich konie tatarskie, które powodowano, jako przytroczone do drugich; uzbroidł ich nawet w krzywe szable na Tatarach w hutorze zdobyte.

Wreszcie pokazało się młodym wojakom zdaleka nad rzeczką Koropiec miasto Podhajce ze swym pięknym kościołem i zamkiem murowanym o wysokich basztach na wzgórzu. Z lewej strony pod miastem wychyliły się okazałe chorągwie polskie i białe namioty. Powoli odkrył się oczom junaków i cały Sobieskiego obóz dużym opasany wałem, i jeszcze wewnątrz obwarowany wozami pospianem z sobą łańcuchami.

Było to wczesnym rankiem. Słońce nie pokazywało się z za chmur szarych, jesien-nych. Zdala dochodziła Antka polska pieśń: „O gospodo uwielbiona“. Naraz rozległ się huk armat z obozu wielkiego hetmana. Spojrzał Antek ze wzgórza w dal, aż tu mrowie nieprzyjaciół wystąpiło także przed spiczaste namioty; huknęli i oni z armat i z ogromnym krzykiem rzucili się na niewielki obóz wodza polskiego. Aż ciarki przeszły po grzbiecie Antkowi, gdy spojrzał na szczupłe zastępy



polskie, a potem na niezliczone chmary Tatarów i Kozaków; bo istotnie Tatarów było tu aż osmdziesiąt tysięcy, a Kozaków pod Doroszeńką dwadzieścia cztery tysiące; zaś naszego rycerstwa ledwie dwanaście tysięcy ludzi, to jest siedl jeden nasz na osmlu tamtych! Oba te obozy rozdzielało szerokie błonie.

Umilkły działa i bój się ręczny rozpoczął. Z tamtej strony przy okrzykach zwykłych: "Allah, Allah! — glaur, glaur" (psy niewierne), furknęło tysiące strzał, potem wystrzelono z janczarek i hajda! rzuciła się konnica z pałaszami na naszych, co oparłi o obóz, ze skrzydłami u ramion, jak mur siedzieli na koniach, osłonięci zbroją, z nastawionymi kopljami do ataku. Tylko drgnięcie tych ostrych kopii z proporcami kitajkowymi, dojrzał Antek z daleka. Kazał on przystanąć swoim z boku pod drzewami bukowymi, bo nie wiedział na razie, co począć? Patrzy, aż tu od owego drgnięcia kopii husarskich, pospadały setki Tatarstwa z koni, niby uleżalki strząśnięte z polnej gruszy. Teraz Tatarzy ogromnem półkolem, czyli jak to zwano, tańcem tatarskim rozwinęli się po błoniu, aby opasać i zgnieść łatwiej niewielką liczbę naszych. Ruszyły się i wata-

hy, to jest czeredy Kozactwa z kwiklem na prawem skrzydle. Naprzeciwko nich stał drugi hufiec naszej konnicy także z kopljami w ręku, w zbrojach błyszczących i tak samo jak tamci z orlemi skrzydłami u ramion, — i ci oplerali się na tyłach o wystający naprzód wał obozowy. Bój zawrzał na całym froncie. Sobieski z orłem białym na złocistym hełmie, okryty zbroją, na dzielnym gniadym rumaku, poprowadził teraz cwałem swoich hussarzy w najgęstsze tłumy nieprzyjaciół; na rozkaz też jego zagrzmiały kotły, zagrały surmy w obozie i wystąpili z niego dragońi, a też i plechota najemna z muszkietami. Szli oni przeciw obom skrzydłom wroga, prowadzeni przez chorążych i pułkowników. Odgłos muzyki zmieszał się ze strzałami armat i muszkietów, z okrzykami strasznych obudów wojsk.

W czasie ataku nieprzyjaciół na obóz hetmana, oderwał się od tatarskiego półkola czyli półksłężycy, jeden oddział, mogący liczyć do trzystu koni. Znać, mieli rozkaz wpaść z tyłu do opróżnionego obozu Sobieskiego przerwami w wałach, bo naprzód zrobili duże koło na błoniu, że prawie zniknęli gdzieś w dymie, aż potem nagle popędzili jak kule na tył obozu polskiego, z ką� wszy-



stko prawie co żyło oprócz ciurów, ruszyło na front odpiierać atak liczego nieprzyjaciela, co wprzód już nękanie śmiało podjął Sobieskiego, chciał raz już zdławić garść naszych. Możeby temu tatarskiemu oddziałowi udało się zrobić zamieszanie w obozie i na tyłach hussaryi, ale na szczęście nasz Socha wsplęty na strzemionach, sam niespostrzeżony pod drzewinami ze swym oddziałem, włócił baczenie okiem za manewrującymi zdala Tatarami, i gdy spostrzegł, że zwracają się co koń mógł wyskoczyć ku obozowi, zawołał na swoich:

— Chłopcy! zablożmy im drogę. Hryć! trąb do ataku!

Tu powiemu nawiasem, że w oddzialek miał Socha i młodego trębacza, którego sobie zwerbował z kapeli kościelnej w Buczaczu, gdzie z innymi grywał na chórze.

— Duchem! w imię Boga i Maryi! — zawołał — kłuć i rąbać niewiermych, bez miłosierdzia!

Za chwilę zabiegli Tatarom drogę i huknąwszy z pistoletów, uderzyli na nich niespodzianie, z wielką odwagą. Zmieszali się Tatarzy okropnie tym niespodzianym napadem. Socha dał przykład waleczności i zapalu; bili się nasi ogniście... zaraz z samego

początku walki spadło z koni kilkunastu Tatarów; legło i naszych kilku, — a w końcu rąbani i kłuci bismurkami w niewielkiej już liczbie, z krzykiem, bez ładu i składu pierzchnęli ku swoim. Socha pognął za ich dowódcą, co pędził w pojedynkę, dognał go i jednym zamachem swej tak wybornej szabli zdjął mu z karku głowę, okręconą jedwabnym, zielonym zawojem. Zatknąwszy ją na ostrzu szabli, wracał z tryumfem ku obozowi. Tu jeszcze bój wrzał na dobre. Hetman wszędy przodując swą wyniosłą postawą, z szabłą w ręce, ślał zniszczenie między napastnikami. Hussarzom nie się oprzeć nie mogło. Wtem na tyłach lewego skrzydła Tatarów, pokazał się pułk jazdy pancernej okrytej zbroją, z długimi pałaszami w ręku, z piórami u szyszaków; wysłał ich bowiem przed zaczęciem bitwy Sobieski cichaczem i manowcami w tę stronę. Ci z wielką furją wpadłszy z tyłu na nieprzyjaciół, straszne zamieszanie i rzeź im sprawili. Tatarzy i Kozacy na całej linii w lewo zwrot zrobili. Zwycięstwo Sobieskiego było stanowcze. Nieprzyjaciele straciwszy tysiące swoich i doświadczwszy silnych pięści naszych, pierzchnęli z pola bitwy do swego obwarowanego obozu.



Gdy po bitwie oboźny oglądał obóz i okopy, spotkał się z uszczuplonym teraz oddziałkiem Antoniego Sochy, który stał z ubocza, bo jeszcze nie nadarzyła się pora do przedstawienia się starszyźnie i hetmanowi. Ochotnicy zsiedli z koni, które chrupały porzucone im na ziemię siano, a na płce tkwiła głowa tatarska z zawojem przed pierwszym szeregiem koni. W zawoju błyszczał duży, szmaragdowy kamień, oprawny w drobne brylanty i w złoto.

Wpadł oboźnemu w oko ten oddziałek dotąd mu nieznany; spojrzał też ciekawie na głowę tatarską sterczącą wysoko.

— Któż to zciął z głębi tę głowę kapusty? — zapytał z uśmiechem.

— To mnie się udało, proszę waszmość pana — odpowiedział Antek.

Tu się dowiedział od Antka, co on za jeden, skąd się tu wziął i w jaki sposób przyszedł do tej głowy tatarskiej.

— A wiesz ty bracie — rzekł oboźny — że to jest głowa tatarskiego hanika; widzę to po jego zawoju i po klejnocie, co w nim utkwiony.

— Temci lepiej, miłoścy panie — odpowiedział Antek — nie będzie już szczyrzyła zębów na naszych.

Oboźny kazał mu iść za sobą z tą głową przed wielkiego hetmana do namiotu.

Sobieski rycerz wspałały, z szumnym, pokrętnym wąsem, odziany w bogatą zbroję, zoczywszy Antka wchodzącego z oboźnym pod namiot, zapytał:

— Co zacz ten młody dragon? (ciągle bowiem Antek chodził w tym mundurze).

Dowiedziawszy się w rozmowie i o nazwisku i przygodach Antka, tak na hutorze w polu, jakoteż o sprawnym zabezpieczeniu drogi podstępny Tatarom przy obozie i odpędzeniu ich, — a wreszcie w jaki sposób zebrał drużynę junaków, rzekł pokręcając wąsa:

— Mospanie! dzielny z ciebie chłopak, toż mianuję cię setnikiem za twoje zucho-wate postęпки, co będzie zapisane u nas w rejestrach. Dostaniesz z kasy mojej pięć czerwonych złotych, a i twój dzielny oddziałek nie zostanie bez nagrody. Odtąd, skoro zechcesz, możesz wstąpić na żold skarbowy zawsze jako setnik. Jesteś młody, za czasem możesz zostać i szlachcicem i towarzyszem w wojsku; godno nagradzać tych, co życia swego nie wazą dla miłości tej naszej młej ojczyzny, w tak ciężkich czasach.

Socha, trzymając w jednej ręce głowę



brodatą hana, drugą dziękując, skłonił się do kolan wielkiemu wodzowi; ten mówił dalej:

— Toż widzę, mospanie, że i szabla twoja nie od parady, mój setniku, kiedy zmachnęła jak makówkę z grubego, jak wldzę, karku tę hańską głowę. Pokaże mi tę szablęcę, mospanie, bo mi się bardzo udała.

— Miłościwy hetmanie! — rzekł Antek — ta szabla była w ręku wielkiego wodza, dostałem ją na pamiątkę, jak umierał.

I odpasawszy bogatą szablę, podał ją Sobieskiemu.

— Coż to ja wldzę? — rzekł niezwyknięzony wódz — co widzę? to szabla Czarnieckiego; znać to z tego napisu na brzeszczocie: "ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli."

Obejrzawszy z uczuciem wielkiego szacunku niebleskawy brzeszczot, rzekł zwracając go Antkowi:

— Chowajże chłopcze, i strzeż jak oka w głowie tę przepiękną pamiątkę; niechaj ci ta szabla służy wiernie nie dla napaści na cudze kraje, lecz dla obrony jedynie tej zagrożonej, kochanej ziemi. A teraz idź setniku posilić się w obozie, bo nasza wiara już się tam przy kotłach uwija.

Wyszedłszy z namiotu Antek, zdjął za-

wój z głowy tatarskiej, pochował ją w wspólnym dole z poległymi w bitwie, a wielki szmaragd z brylancikami przypiął sobie na przodzie do swojej czapki.

Powtórzyli jeszcze Tatarzy i Kozacy parę szturmów do obwarowanego obozu polskiego, ale zawsze byli odparci z wielkimi stratami. Sobieski znów nękał ich, jak on to lubił, niespodzianymi wycieczkami i podjazdami; wreszcie, gdy się dowiedzieli, że wierni Rzeczypospolitej Kozacy wpadli do Krymu i pustoszyli mienie i włoski czyli auly tatarskie, pragnęli wycofać się bez pościgu z Podhajeckich błoni, i poprosili Sobieskiego o pokój. Stało się to 12go października 1667 r. Pokój był korzystnie zawarty dla Polski. Tatarzy poprzysięgli nie wojować już wcale z Polską i szanować jej granice, aby im tylko król posyłał co rok pewną ilość kozuszków. Nie dotrzymali potem zdrajcy obietnicy i po dawnemu trzeba było zwodzić znowu krwawe tańce z nimi. We trzy dni po zawarciu tego pokoju, Piotr Doroszeńko zawarł też z Sobieskim ugodę w Podhajcach, zobowiązując się dochować posłuszeństwa królowi polskiemu, jeśli ten przebaczy Kozakom ich bunt, przywróci ich do łaski swojej i do praw dawnych. Przez upór i zagniewanie naszych



na niesforność kozacką, Doroszeńko, nie o-  
trzymałszy praw żądanych, poddał się nie-  
baczny ze swojemi watahami sultanowi ture-  
ckiemu, czego potem gorzko żałował.

Sobieski pełen chwały, cofnął się teraz  
w głąb Rusi Czerwonej na zimowe leże. Nie-  
szczęśliwa ta kraina odetchnęła teraz choć  
na chwilę, dzięki bohaterskiemu Sobieskie-  
mu, który ją chronił od zaboru i zagłady.

Ochotnikom, nieszlachcie, wolno było  
powrócić do rodzin swoich. Żołd otrzymali  
od hetmana, co im się bardzo przydało na  
drogę.

Antek z kilkunastu złomkami Sando-  
mierzanami wracał włąć na Buczac. Wedle  
przrzeczenia danego Basł, wypadło mu teraz  
ją zabrać do stron rodzinnych. Lecz konno  
przecież jechać nie mogła i to jeszcze tak da-  
leko, przeto nasz Socha przemyślał o ja-  
klej furmance.

Ucieszyła bardzo się biedaczka, zobaczy-  
wszy znowu Antka, swego wybawiciela. Co  
tchu pragnęła puścić się w drogę z tych kre-  
sowych, niespokojnych granic Polski. Antek,  
skoczywszy po rozum do głowy, spieniężył  
swoją szmaragdową klejnot u złotnika ormia-  
nina w Buczaczu, a też i dwa konie sprzedał,  
zabrane przezeń Tatarom w bitwie pod

Podhajcami, które luzem przy swoim kaszta-  
nie prowadził.

Za te pieniądze kupił wózek, zaprzągl  
do niego swego podjezdka, na którym sta-  
czał boje; za niecałe dwa tyńfy, których ośm  
szło na talar, dostał korzec owsa dla konia;  
kupił też ciepłą jubkę baranią dla Basł na  
drogę, bo to był chłopak, jak widać, z do-  
brem sercem,—a nawet starczyło mu aż nad-  
to dać talara na zadatek dla kobiety, która  
była natenczas bez służby w Buczaczu, i pod  
jej opieką, sam powożąc, wiozł Basł na  
Lwów ku Sandomierzowi, wózkiem wypcha-  
nym jej bagażami odebranymi Tatarom. Za  
dwa tygodnie stanął w okolicach Wąchocka.  
Zajechał do Wawrzeńczyc, gdzie łatwo się  
dopytał o ciotkę Basinę, która niedawno o-  
wdowiła, a jako bezdzietna, wlece się ucie-  
szyła, że jej Pan Bóg na pociechę w strapie-  
niu i dla wyręki w krzątaniu domowej ze-  
słał miłą siostrzenicę, o której tak jak i o jej  
rodzicach dawno nie miała słyhu.

Była właśnie na podwórku, gdy Antek  
z Baslą i ową służącą zajechał wózkiem przed  
wrota chaty ze słomianą strzechą, stojącej  
nad parowem. Ciotka, dowiedziawszy się o  
sieroctwie Basł, spłakała się serdecznie i tu-



łąc bolejącą dziewczynę, całowała ją z macierzyńską czułością.

Weszli do izby, której podłogę stanowiło ubite z gliny klepisko: obok skromnych sprzętów, stało przy ścianie duże łóżko zasłane pierzynami i poduszkami w białych, zgrzebnych powłóczkach. Pod oknem stała skrzynka czerwona z pomalowanymi kwiatami, a z nad głównej belki, czyli slestrzana przechodzącego pod pułapem, wyglądało parę bochenków razowego chleba, pękł ziół i ubranie po nieboszczyku gospodarzu chaty. Kawalek lusterka przylepiony do ściany, na której kilka obrazów Świętych wisiało, a między niemi obraz świętego Stanisława Biskupa, wskrzeszającego Piotrowina z grobu, z powiedłymi kwiatami dokoła, uzupełniał przystrój izby. Prowadziły z niej drzwi do komory.

Gdy Antek, wszedłszy, pochwaleniem Jezusa Chrystusa powitał wdowę i odpasawszy szablę postawił ją w kącie, wdowa prosiła go spocząć na ławie i nie mogła się jeszcze nacieszyć i nacałować Basi, — gładziła ją po włosach, całowała w modre oczęta.

— Choć wam usmażę jajecznicę i uwarzę mleka—rzekła—jesteście zmęczeni i pewnie głodni. Zaraz na kominię zapalę, a jak

przyjdzie z pola parobek, boć i słońce ma się już ku zachodowi, to waszego konika—rzekła do Antka — zaprowadzi do chlewka i podkarmi, boć pewnie tu zanocujecie.

— Bóg wam zapłać—odpowiedział Antek — posilić się, co prawda, nie wadzi, ale koniowi sam zadać mogę siano i zasypać obrok, boć go się jeszcze zostało w worku. Jenó pozostać tu na noc nie mogę, bo mi spleszno na opactwo, żeby tam corychlej powitać pocziwych zakonników, co mnie na ludzi wyprowadzili, a i nieboszczykowi ojcu przytułek dali.

— Jak tam już wasza wola—rzekła wdowa—tylko nie zapominajcie tu o nas.

Zakrzętnąwszy się około komina, rychło postawiła na stole gorące mleko, nakrajała razowego chleba i zaraz też usmażyła jajecznicę ze skwarkami i wkrojoną cebulą.

Powoli, dowiedziała się od Antka o jego przygodach na wojnie i o tym napadzie Tatarów na hutor Radosza, i jak mu się to udało szczęśliwie uratować Basię.

— Miły Boże!—rzekła wdowa z westchnieniem — co się to teraz dzieje, człek i życia nigdzie niepewny przed tem plugawem pogaństwem. Aleć przecie grunt został przy hutorze? — dodała — godność postarać się



o to, żeby go tam kto nie zacharapił; jeno jak się tu włąć do tego, kiedy ztąd tak tam daleko?

— Pogadam o tem z księdzem opatem w Wąchocku — odpowiedział Antek — może da jaką radę, i napisze się, do kogo wypadnie, żeby sierocie jej własność zabezpieczyć.

Podziękowawszy potem za gościnność dobrej kobiecie, przypasał do boku szablę i zbierał się do odjazdu.

Żegnając Basię, podarował jej zawój jedwabny, co go to zdobył na tatarskim hanie, żeby sobie zeń chustkę ładną miała na szyję albo na głowę. Basia ze łzami w oczach żegnała Antka i prosiła wraz z ciotką, żeby ich w Wawrzyczynicach często nawle-dzał. Antek szczerze przyrzekał, ile że od Wąchocka nie tak było daleko.

W Wąchocku zacny opat przyjął Antka z otwartemi rękami, a ojciec Serafin i szafarz ojciec Bonifacy ucałowali go w głowę serdecznie, ciesząc się, że zdrow z wojny powrócił. Jako setnika z pod chorągwi tak wielkiego wodza, jakim był Sobleski, nie śmiał już ksiądz opat po dawnemu obrócić na forysia swojego, ale ugodził go i powierzył mu nadzór nad lasem opactwa około Bzina. Poru-

czył mu także dostawę zwierzyny na stół, w razie podejmowania jakich dostojniejszych osób na opactwie. Socha wyćwiczony w strzelaniu na wojnach, ile że był i oka celnego, często gęsto ubił rogacza w lasach, a nawet i odszczepem udało mu się nieraz dzika powalić; pięść jego była teraz tak silna i zahartowana, że śmiało mógł iść w zapasy z dzikim zwierzem. Złamać też podkowę w rękę — była fracha u niego.

Upłynęło tak dwa lata, podczas których nawle-dzał ciotkę i Basię w Wawrzyczynicach, o ile się tylko mógł w dnie świąteczne uwolnić od obowiązków. Dzieweczka miała już wtedy lat 16; rozwijała się wdzięcznie jak polna różyczka. Antek zgodził organistę parafialnego, żeby ją uczył czytać, pisać i rachować.

Dziewczę uczyło się chętnie, a Antek za pozwoleniem księdza opata, w nagrodę dobrej nauki, przyniósł jej młodą, śliczną sarenkę, która się wkrótce bardzo oblaskawiła i chodzila wszędy za Basią jak wierny piesek.

A po upływie następnych dwóch lat, czcigodni opat zakonu Cystersów w Wąchocku, błogosławił młodej parze nowożeńców. Organy grały aż huczało pod sklepieniem



kościół; zebrani w około zakonnicy asystowali uroczystemu aktowi, a przed ołtarzem klęczeli: śliczna Basia, ze swoim ulubieńcem Antkiem Sochą.

